

italo calvino

niewidzialne miasta

przełożyła alina kreisberg

Tytuł oryginału: *Le città invisibili*

Copyright © The Estate of Italo Calvino, 2002 All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIII Copyright © for the Polish translation by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIII

Wydanie III Warszawa

I

Nie jest powiedziane, że Kubłaj-chan wierzy we wszystko, co opowiada mu Marko Polo, opisując miasta, które odwiedził podczas pełnienia swoich misji, ale bez wątpienia władca Tatarów słucha młodego Wenecjanina pilniej i uważniej niż któregośkolwiek ze swych posłów czy wysłanników. W życiu monarchów jest chwila, która przychodzi w ślad za uczuciem dumy z ogromu podbitych terytoriów, po melancholii i uldze wywołanej świadomością, że już wkrótce zrezygnujemy z poznawania ich i pojmowania, odczucie niby pustki, które ogarnia nas pewnego wieczoru, wraz z zapachem słońi po deszczu i popiołu drzewa sandałowego stygnącego w kadzielnicach; zawrót głowy, który wprawia w drżenie rzeki i góry, wypisane na płowych grzbietach planisfer, skręca w zwitek doniesienia o coraz to nowych klęskach, ponoszonych przez ostatnie nieprzyjacielskie oddziały, i łuszczy lak na pieczęciach królów, nieznanym nam nawet z imienia, którzy błagają, aby nasza krocząca zwycięsko armia zechciała udzielić im ochrony, w zamian za doroczne daniny z drogocennych kruszców, wyprawionych skór i szylkretu: to rozpaczliwa chwila, kiedy odkrywamy, że mocarstwo, które wydawało się nam summą wszelkich wspaniałości, jest w istocie bezkresnym i nieforemnym rumowiskiem, którego rozkład sięgnął zbyt głęboko, aby zaradzić mu mogło nasze berło, że tryumf nad wrogimi monarchami uczynił z nas spadkobierców ich nawarstwionej ruiny. Tylko w relacjach Marka Polo Chanowi udawało się dojrzeć, poprzez mury i wieże chylące się nieuchronnie do upadku, filigranowy rysunek tak subtelny, że mógłby wysliznąć się ze szczęk termitów.

Miasta i pamięć. 1.

Jeśli wyruszyć stamtąd, jadąc trzy dni w kierunku wschodnim, przybywa się do Diomiry, miasta o sześćdziesięciu srebrnych kopułach, ozdobionego brązowymi posągami wszystkich bogów, z kryształowym teatrem i kurkiem ze złota, który każdego ranka pieje na jednej z wież. Wszystkie te cuda podróżnik zna już z innych miast. Lecz Diomira odznacza się tym, że kto przyjedzie do niej we wrześniowy wieczór, kiedy dni stają się krótsze i nad drzwiami wszystkich szaszłykami zapalają się równocześnie kolorowe lampki, a z tarasu dobiega kobiecy okrzyk: uch!, zaczyna zazdrościć tym, którzy w tej samej chwili myślą, że przeżyli już kiedyś taki wieczór i że byli wówczas szczęśliwi.

Miasta i pamięć. 2.

Człowieka, który przez długi czas przemierza konno dzikie bezdroża, nachodzi tęsknota za miastem. Wreszcie dociera do Izydory, miasta, gdzie pałace mają kręte jak muszla ślimaka schody, wysadzone morskimi muszlami, gdzie rzemieślnicy celują w wyrobienie lunet i skrzypiec, gdzie przybysz, jeśli nie umie dokonać wyboru między dwiema kobietami, zawsze napotka trzecią, gdzie walki kogutów przeradzają się w krwawe bitki między stawiającymi zakłady. O tym wszystkim myślał podróżny, tęskniąc za miastem. Izydora jest zatem miastem z jego marzeń: z jedną tylko różnicą. Miasto, o którym marzył, obejmowało jego samego w młodości; do Izydory przybywa w podeszłym wieku. Na rynku jest murek, gdzie przesiadują starcy, by patrzeć na przechodzącą młodzież; on siedzi w rzędzie wśród nich. Pragnienia są już wspomnieniami.

Miasta i pragnienia. 1.

O Dorotei można opowiadać na dwa sposoby: mówić o czterech aluminiowych wieżach wznoszących się z jej murów po bokach siedmiu bram, ze zwodzonym mostem przerzuconym przez fosę, skąd woda napływa do czterech zielonych kanałów przecinających miasto, dzieląc je na dziewięć dzielnic, z których każda liczy trzysta domów i siedemset kominów; i biorąc pod uwagę, że dziewczęta na wydaniu z każdej dzielnicy poślubiają chłopców z innych dzielnic, a ich rodziny wymieniają ze sobą towary, na które każda ma monopol: olejek bergamotowy, kawior, astrolabia, ametysty, tak długo robić obliczenia na podstawie tych danych, aż będzie się wiedzieć wszystko o przeszłości, terażniejszości i przyszłości miasta. Albo powiedzieć jak poganiacz wielbłądów, który mnie tam doprowadził: „Przybyłem tu we wczesnej młodości, rankiem, tłum ludzi spieszył ulicami w kierunku targu, kobiety miały ładne zęby i spoglądały prosto w oczy, na estradzie trzech żołnierzy grało na klarnetach i wszędzie wokół kręciły się koła i powiewały barwne transparenty. Przedtem znałem tylko pustynię i szlaki karawan. Tamtego ranka, w Dorotei, poczułem, że nie ma dobra, którego nie mógłbym spodziewać się od życia. W późniejszych latach moje oczy znów wpatrywały się w przestrzenie pustyni i szlaki karawan; ale teraz wiem, że jest to tylko jedna z dróg, jakie otwierały się przede mną owego ranka w Dorotei”.

Miasta i pamięć. 3.

Na próżno, wielkoduszny Chanie, próbowałbym ci opisać miasto Zairę o wysokich basztach. Mógłbym powiedzieć, ile stopni liczą strome ulice układane w schody, jak są sklezione łuki podcieni i jakie blachy cynkowe pokrywają dachy; ale wiem, że byłoby to tak, jakbym ci nic nie powiedział. Nie z tego składa się miasto, lecz ze stosunków między wymiarami jego przestrzeni a wydarzeniami z jego przeszłości: między odległością latarni od bruku a kołyszającymi się stopami powieszzonego samozwańca; sznurem przeciągniętym między latarnią i przeciwległą balustradą a festonami zdobiącymi trasę orszaku ślubnego królowej; wysokością tej balustrady a skokiem cudzołózczy, który przesadza ją o świcie; nachyleniem rynny a kotem, który posuwa się po niej, aby wśliznąć się przez to samo okno; linią ognia kanonierki, która wypływa niespodziewanie zza cypla, a kulą druzgocącą rynnę; dziurami w sieciach rybackich a trzema starcami siedzącymi na przystani, zajętymi naprawą i opowiadającymi sobie po raz setny historię kanonierki samozwańca, o którym mówią, że był nieprawym synem królowej, porzuconym w pieluszkach właśnie tu, na przystani.

Tą falą, płynącą ze wspomnień, miasto nasycza się jak gąbka i nabrzmiewa. Opis dzisiejszej Zairy powinien obejmować całą przeszłość Zairy. Ale miasto nie opowiada swojej przeszłości, zachowuje ją, jak linie dłoni, wpisana w narożniki ulic, w kraty okienne, poręczce schodów, druty piorunochronów, drzewca chorągwi, a każdy segment jest oznaczony z kolei własnymi zadrapaniami, rysami, uderzeniami i nacięciami.

Miasta i pragnienia. 2.

Po trzech dniach podróży ku południowi trafia się do Anastazji, miasta skąpanego w koncentrycznych kanałach, nad którym szybują latawce. Powiniennem teraz zacząć wymieniać towary, które można tu korzystnie kupić: agat, onyks, chryzopraz i inne odmiany chalcedonu, zachwalać smak mięsa bażanta złocistego, pieczonego tutaj na ogniu z suchych drew czereśniowych i posypanego obficie rozmarynem, opowiedzieć o dostrzeżonych tu kiedyś kobietach kąpiących się w ogrodowej sadzawce, którym zdarza się podobno zapraszać czasem przechodnia, aby zrzucił wraz z nimi odzienie i ścigał je w wodzie. Ale te informacje nie odkryłyby przed tobą prawdziwej istoty miasta, bowiem słuchając opisu Anastazji, możesz tylko odczuwać kolejne pragnienia, jedno po drugim i zaraz musisz je tłumić, natomiast człowieka, który rankiem znajdzie się wśród jej ulic, otaczają naraz wszystkie pragnienia, równocześnie rozbudzone. Miasto objawia ci się jako całość, gdzie nie gubi się żadne pragnienie i w której skład i ty wchodzisz, a ponieważ cieszy się ono wszystkim, czym ty nie możesz się radować, pozostaje ci tylko zamieszkać w tym pragnieniu i zadowolić się nim. Taka jest władza zwodniczej Anastazji, to zła, to łaskawa: jeśli codziennie przez osiem godzin pracujesz jako szlifierz agatów onyksów chryzoprazów, twój trud, kształtujący pragnienia, sam bierze swój kształt z pragnień i kiedy wydaje ci się, że radujesz się za całą Anastazję, jesteś w istocie tylko jej niewolnikiem.

Miasta i znaki. 1.

Całymi dniami człowiek wędruje wśród drzew i kamieni. Z rzadka oko zatrzymuje się na jakimś przedmiocie, a dzieje się to wówczas, kiedy rozpoznaje w nim znak innej rzeczy: ślad na piasku mówi o przejściu tygrysa, mokradła zapowiadają podziemne źródło, a kwiat chińskiej róży zwiastuje koniec zimy. Wszystko inne jest milczące i wymienne; drzewa i kamienie są tylko drzewami i kamieniami.

U kresu tej podróży człowiek dociera do miasta Tamary. Zagłębia się w ulice o ścianach gęsto najeżonych szyldami. Oko nie dostrzega rzeczy, lecz wizerunki przedmiotów oznaczających inne rzeczy: kleszcze wskazują dom rwacza zębów, dzban – karcznię, halabardy – posterunek straży miejskiej, waga – handlarzkę zieleniną. Posągi i tarcze wyobrażają lwy delfiny wieże gwiazdy: znak, że coś – co, nie wiadomo – ma za znak lwa czy delfina lub wieżę czy gwiazdę. Inne sygnały uprzedzają, czego w danym miejscu się zabrania: wjeżdżać wozami w zaułek, oddawać mocz za kioskiem, łowić z mostu ryby na wędkę, i o tym, co jest dozwolone: poić zebry, grać w kule, palić zwłoki swych zmarłych. U wejścia do świątyń stoją posągi bogów, z których każdy został przedstawiony z właściwymi sobie atrybutami: rogiem obfitości, klepsydrą, meduzą, dzięki czemu wiemy może ich rozpoznać i zwrócić się do każdego z nich z odpowiednią modlitwą. Jeśli na budynku nie widnieje żaden szyld czy wizerunek, już sam kształt i położenie w układzie miasta dostatecznie jasno określają jego funkcję: pałac królewski, więzienie, mennica, szkoła pitagorejska, zamtuż. Także towary wyłożone na straganach nie mają wartości same w sobie, lecz jako znaki innych rzeczy: haftowana przepaska na czoło oznacza elegancję, złożona lektyka – władzę, księgi Awerroesa – mądrość, bransoleta na kostkę u nogi – lubieżność. Wzrok przebiega po ulicach jak po zapisanych kartach: miasto podpowiada ci wszystkie myśli, każe powtarzać za sobą własną mowę i kiedy sądzisz, że zwiedzasz Tamarę, w rzeczywistości rejestrujesz tylko nazwy, jakimi określa ona siebie samą i wszystkie swe części.

Człowiek opuszcza Tamarę, nie dowiedziawszy się, jakie jest naprawdę to miasto pod gęstą powłoką znaków, co zawiera czy kryje. Poza jego obrębem rozciąga się aż po horyzont pusta ziemia, otwiera się niebo, po którym biegą chmury. W kształtach, jakie chmurom nadają przypadek i wiatr, człowiek skłonny jest już rozpoznać figury: zagłowiec, rękę, słońca...

Miasta i pamięć. 4.

Za sześcioma rzekami i trzema łańcuchami gór wznosi się Zora, miasto, które raz widziane pozostaje na zawsze w pamięci. Ale nie dlatego, żeby jak inne, godne zapamiętania miasta utrwalalo się wśród wspomnień jakimś niezwykłym obrazem. Zora ma tę właściwość, że zapisuje się w pamięci, fragment po fragmencie, w kolejności ulic i domów wzdłuż ulic, i drzwi, i okien domów, chociaż nie przejawia w nich nic szczególnie pięknego lub osobliwego. Jej sekret – to sposób, w jaki wzrok przebiega po formach, które następują po sobie jak w muzycznej partyturze, gdzie nie można zmienić czy przemieścić ani jednej nuty. Kto zna na pamięć Zorę, wyobraża sobie, kiedy nocą nie może zasnąć, że idzie jej ulicami, i wspomina kolejność, w jakiej następują po sobie miedziany zegar, pasiasta zasłona balwierza, fontanna o dziewięciu strumieniach, szklana wieża astronoma, kiosk sprzedawcy melonów, posąg pustelnika z lwem, łaźnia turecka, kawiarnia na rogu, przecznica prowadząca do portu. To niezacierające się w pamięci miasto jest jak rusztowanie czy sieć, w której okach każdy może umieszczać to, co chce zapamiętać: nazwiska sławnych ludzi, cnoty, liczby, klasyfikację roślin i minerałów, daty bitew, gwiazdozbiory, części mowy. Pomiedzy każdym pojęciem a każdym z punktów swej drogi będzie mógł ustalić związek podobieństwa lub kontrastu, który posłuży pamięci za natychmiastowy punkt odniesienia. Toteż najwięksi mędracy świata to ci, którzy znają Zorę na pamięć.

Ale na próżno wyruszyłem w podróż z zamiarem odwiedzenia tego miasta: Zora, zmuszona do trwania, nieruchoma i niezmienna, aby lepiej zapisywać się w pamięci, zasłabła, rozpadła się i znikła. Ziemia o niej zapomniiała.

Miasta i pragnienia. 3.

Do Despiny można dotrzeć na dwa sposoby: statkiem lub na wielbłądzie. Miasto jawi się odmiennie temu, kto nadjeżdża od strony lądu, i temu, kto wpływa do niego morzem.

Poganiacz wielbłądów, który dostrzega wychylające się zza widnokregu wyżyny szczyty wieżowców, anteny radarowe, powiewające na wietrze białe i czerwone rękawy portowe i dymy wyrzucane z kominów, myśli o statku, wie, że jest to miasto, ale myśli o nim jak o okręcie, który może go unieść z pustyni, jak o żaglowcu szykującym się do podniesienia kotwicy, z żaglami nierozwiązanymi jeszcze, lecz już wydętymi przez wiatr, albo jak o parowcu, z kotłem wibrującym w stalowym kilu, i myśli o wszystkich portach, o zamorskich towarach, które żurawie wyładowują na nabrzeżach, o tawernach, gdzie załogi spod różnych bander rozbijają sobie butelki na głowach, o oświetlonych oknach na parterze i o kobietach czeszących się w każdym z tych okien.

We mgle wybrzeża marynarz rozpoznaje kształt wielbłądziego grzbietu, wyszywanego siodła z frędzlami, które błyszczą między dwoma cętkowanymi garbami posuwającymi się kołyszącym ruchem; wie, że jest to miasto, ale myśli o nim jak o wielbłądzie, któremu z siodła zwisają bukłaki i juki z kandyzowanymi owocami, winem daktylowym, liśćmi tytoniu, i już widzi siebie na czele długiej karawany, która unosi go z pustyni morza ku oazie ze słodką wodą w pierzastym cieniu palm, ku pałacom o grubych wapiennych murach i dziedzińcach wykładanych mozaiką, po której tańczą bosonogie tancerki, poruszając ramionami, to kryjąc je, to wynurzając spod welonu.

Każdemu miastu nadaje kształt pustynia, której jest ono przeciwieństwem; w ten sposób poganiacz wielbłądów i marynarz widzą Despinę, miasto na pograniczu dwóch pustyni.

Miasta i znaki. 2.

Z miasta Zirmy podróżni wynoszą wyraziste wspomnienia: krzyżącego w tłumie ślepego Murzyna, szaleńca, który wychyla się poza gzyms wieżowca, dziewczyny spacerującej z pumą na smyczy. W rzeczywistości wielu ślepców, którzy uderzają laskami o bruki Zirmy, ma czarną skórę, w każdym wieżowcu ktoś popada w obłąd, wszyscy szaleńcy spędzają długie godziny na gzymsach i nie ma pumy, która nie byłaby hodowana dla zaspokojenia dziewczęcych kaprysów. Mowa miasta jest rozwlekła: powtarza, aby coś mogło utrwalić się w pamięci.

Ja też powracam z Zirmy: w moich wspomnieniach zachowały się sterówce płynące we wszystkich kierunkach na wysokości okien, uliczki kramów, gdzie kreśli się tatuaż na skórze marynarzy, koleje podziemne zatłoczone otyłymi kobietami cierpiącymi od duchoty. Moi towarzysze podróży natomiast zaklinają się, że widzieli jeden tylko sterowiec, jak wyswobadzał się spośród iglic miasta, jednego mistrza tatuażu, który rozkładał na ladzie igły i farby, i dziurkowane wzory, tylko jedną zwalistą babę, wachlującą się na pomoście wagonu. Mowa pamięci jest rozwlekła: zwielokrotnia znaki, aby miasto zaczęło istnieć.

Zwiewne miasta. 1.

Przypuszcza się, że Izaura, miasto tysiąca studni, wznosi się na głębokim podziemnym jeziorze. Wszędzie, gdzie mieszkańcy, drażąc w ziemi długie pionowe otwory, dokopali się do wody, do tego miejsca i nie dalej sięga miasto: jego wyznaczony zielenią obwód odtwarza zarys ciemnych brzegów pogrzebanego jeziora, niewidzialny pejzaż określa krajobraz widzialny, fala bijąca w zamknięciu pod wapiennym sklepieniem skały ożywia wszystko, co porusza się w blasku słońca.

Toteż w Izaurze głosi się dwa rodzaje religii. Zdaniem jednych, bogowie miasta żyją w głębinach, w czarnym jeziorze, które zasila podziemne nurty. Według innych, bogowie zamieszkują wyciągane na linach wiadra, kiedy ukazują się one nad cembrowiną studni, obracające się krążki linowe, wysięgniki żurawi, dźwignie pomp, śmigi wiatraków wydobywających wodę z wierconych otworów, konstrukcje kratowe, które wspierają spiralny ruch sond, zbiorniki wodne zawieszane nad dachami na końcach żerdzi, smukłe łuki akweduktów, wszystkie słupy wody, pionowe rury, zapadki, przelewy, aż po metalowe chorągiewki wieńczące powietrzne rusztowania Izaury, miasta, które całe pnie się ku górze.

Posłańcy i poborczy podatkowi Wielkiego Chana, wysyłani na inspekcje do odległych prowincji, powracali na czas do pałacu królewskiego w Kemenfu i do magnoliowych ogrodów, w których cieniu przechadzał się Kubłaj, wysłuchując ich długich relacji. Posłowie byli Persami Ormianami Syryjczykami Koptami Turkomanami; cesarz – to ten, kto jest cudzoziemcem w stosunku do każdego ze swych poddanych, a imperium mogło objawić Kubłajowi swoje istnienie tylko za pośrednictwem cudzoziemskich oczu i uszu. W niezrozumiałych dla Chana językach wysłannicy przekazywali wiadomości zasłyszane w językach dla nich niezrozumiałych: z tej nieprzejrzystej gęstwy dźwięków wyłaniały się sumy, wpływające do cesarskiego skarbu tytułem podatków, imiona i patronimika urzędników zdjętych z zajmowanych stanowisk i skazanych na ścięcie, wymiary kanałów irygacyjnych zasilanych w okresach suszy przez wątle rzeczulki. Lecz kiedy przychodziła kolej na sprawozdanie młodego Wenecjanina, między nim a monarchą nawiązywał się inny rodzaj porozumienia.

Nowo przybyły i całkiem nieobeznany z językami Wschodu Marko Polo mógł wypowiadać się jedynie za pomocą gestów, skoków, okrzyków zachwytu i zgrozy, zwierzęcego szczekania i pohukiwania lub za pośrednictwem przedmiotów wyciąganych kolejno z sakw: strusich piór, bambusowych dmuchaw, kawałków kwarcu, które rozkładał przed sobą jak figury szachowe. Po powrocie z wyznaczonych mu przez Kubłaja misji, pomysłowy cudzoziemiec improwizował pantomimy, które władca musiał interpretować: skok ryby, wymykającej się z dzioba kormorana, aby wpaść w sieć, oznaczał jedno miasto, inne było nagim człowiekiem, który bez poparzeń przechodził przez ogień, trzecie wyobrażała czaszka ściskająca krągłą, nieskazitelnie białą perłę w zielonych od pleśni zębach. Wielki Chan rozszyfrowywał znaki, ale związek pomiędzy nimi a miejscami, które odwiedził Marko, pozostawał dla niego niepewny: nie wiedział nigdy, czy cudzoziemiec chce przedstawić przygodę, jaka przytrafiła mu się w podróży, czyny założyciela miasta, przepowiednię astrologa, rebus czy szaradę dla wskazania jakiejś nazwy. Ale wszystko, co pokazywał Marko, czy oczywiste, czy niezrozumiałe, miało moc symboli, które raz ujrzane, nie mogą ulec zapomnieniu czy przemieszaniu. W umyśle Chana imperium odbijało się w pustyni danych nikłych i wymiennych jak ziarna piasku, z której dla każdego miasta i prowincji wyłaniały się figury, wyczarowane przez logogryfy Wenecjanina.

W miarę jak następowały po sobie pory roku i poselstwa, Marko wprawił się w mowie tatarskiej i poznał liczne języki narodów i dialekty plemion. Jego opowiadania były teraz tak dokładne i szczegółowe, jak tylko Wielki Chan mógłby zapragnąć, odpowiadały na wszelkie pytania i zdolne były zaspokoić wszelką ciekawość. A jednak każda wiadomość o jakimś miejscu przywodziła cesarzowi na myśl ów pierwszy gest czy przedmiot, jakim oznaczył je Marko. Nowe dane przejmowały znaczenie owego symbolu, a zarazem przydawały symbolowi nowego znaczenia. Może cesarstwo, pomyślał Chan, jest tylko zodiakiem urojeń umysłu.

– Czy w dniu, kiedy poznam wreszcie wszystkie symbole – spytał Marka – uda mi się na koniec osiąść moje imperium?

A na to Wenecjanin:

– Nie wierz w to, panie: w tym dniu ty sam stajesz się symbolem pośród symboli.

II

– Inni wysłannicy uprzedzają mnie o niedostatkach, nadużyciach, spiskach lub informują o nowo odkrytych kopalniach turkusów, o korzystnych cenach na skórki kunie, o propozycjach dostaw cyzelowanych ostrzy. A co ty? – spytał Marka Wielki Chan. – Powracasz z równie odległych krain, a powiedzieć mi umiesz tylko tyle, co może przyjść na myśl człowiekowi, który siedząc na progu domu, zażywa wieczornej ochłody. Po cóż zatem tyle podróżować?

– Jest wieczór, siedzimy na schodach twojego pałacu, wieje lekki wietrzyk – odpowiedział Marko Polo. – Na każdy kraj, którego obraz mogą wyczarować przed tobą moje słowa, będziesz patrzył z tak samo położonego punktu obserwacyjnego, nawet jeśli miejsce pałacu zajmie wioska zbudowana na palach, a powiew wiatru będzie niósł zapach błotnistej laguny.

– Przyznaję, że moje spojrzenie jest spojrzeniem człowieka pogrążonego w medytacji. Ale ty? Ty przemierzasz archipelagi, tundry, łańcuchy górskie. Równie dobrze mógłbyś się stąd na krok nie ruszać.

Wenecjanin wiedział, że kiedy Kubłaj zaczynał nań nastawać, czynił tak, aby lepiej śledzić tok jego myśli, a wszelkie odpowiedzi i zastrzeżenia Marka miały wyznaczone miejsce w rozumowaniu, które toczyło się już niezależne w umyśle Wielkiego Chana. Innymi słowy, w stosunkach między nimi było obojętne, czy pytania i rozwiązania wypowiadało się na głos, czy każdy z nich rozważał je w milczeniu. Toteż trwali bez słowa, z przymkniętymi oczyma, usadowieni wygodnie na poduszkach, kołysząc się w hamakach i paląc długie bursztynowe fajki.

Marko Polo wyobrażał sobie, iż odpowiada (czy Kubłaj wyobrażał sobie jego odpowiedź), że im bardziej gubił się w nieznanach dzielnicach odległych miast, tym lepiej rozumiał inne miasta, przez które przejeżdżał, aby dotrzeć aż do tego ostatniego, i ponownie przemierzał etapy swoich podróży, i uczył się poznawać port, skąd wyruszył, i znajome zaułki, gdzie spędził młodość, i otoczenie domu, i wenecki placyk, po którym biegał jako dziecko.

W tym momencie Kubłaj-chan przerywał mu lub wyobrażał sobie, że mu przerywa, czy też Marko Polo wyobrażał sobie, że przerwano mu pytaniem: Posuwasz się naprzód z głową zwróconą w tył? – albo: To, co oglądasz, znajduje się zawsze za twoimi plecami? – czy raczej: Twoja podróż odbywa się zawsze tylko w przeszłości?

A wszystko po to, aby Marko Polo mógł wyjaśnić lub wyobrazić sobie, że wyjaśnia, lub aby Chan wyobraził sobie, że się mu wyjaśnia, czy żeby Wenecjanin zdołał wreszcie wyjaśnić samemu sobie, że to, czego szuka, jest zawsze przed nim i nawet jeśli chodzi o przeszłość, jest to przeszłość ulegająca stopniowym przemianom, w miarę jak posuwa się naprzód jego podróż, bo przeszłość podróżnika zmienia się w zależności od przebytej drogi, nie przeszłość niedawna, która wzrasta o jeden dzień z upływem każdego dnia, lecz przeszłość najodleglejsza. Przybywając do każdego nowego miasta, podróżny odnajduje własną przeszłość, o której posiadaniu już nie pamiętał: obcość tego, czym już nie jesteś lub czego nie posiadasz, oczekuje cię przy przejściu przez miejsca obce i nigdy niewzięte w posiadanie.

Marko wjeżdża do miasta; widzi, jak ktoś na placu przeżywa życie lub chwilę, które mogły należeć do niego; to on mógłby być na miejscu tamtego, gdyby dawno temu zatrzymał się w czasie, gdyby długo wcześniej na rozdrożu obrał przeciwny kierunek i po dalekiej drodze znalazł się wreszcie na miejscu tego człowieka, na tym placu. W tej chwili jest już wykluczony z tej swojej prawdziwej czy hipotetycznej przeszłości; nie może przystanąć; musi posuwać się dalej aż do innego miasta, gdzie czeka nań inna przeszłość lub coś, co było może jego potencjalną przyszłością, a teraz jest teraźniejszością kogoś innego. Nieurzeczywistnione przyszłości są tylko odgałęzieniami przeszłości: uschłymi odgałęzieniami.

– Podróżujesz, żeby jeszcze raz przeżyć swoją przeszłość? – brzmiało w tym miejscu pytanie Chana, które mogło być równie dobrze sformułowane: – Podróżujesz, aby odnaleźć swoją przyszłość?

A odpowiedź Marka:

– To, co istnieje gdzie indziej, jest odwróconym zwierciadłem. Podróżnik rozpoznaje tę część, która należy do niego, odkrywając ogrom tego, czego nie miał i mieć nie będzie.

Miasta i pamięć. 5.

W Maurilii podróźnego zaprasza się do zwiedzenia miasta i równocześnie do obejrzenia starych widokówek ukazujących je takim, jakie było w przeszłości: ten sam plac z kurą w miejscu, gdzie teraz jest postój autobusów, pawilon koncertowy w miejscu wiaduktu, dwie panienki z białym parasolem w miejscu dzisiejszej fabryki materiałów wybuchowych. Aby nie sprawić zawodu mieszkańcom, podróźny powinien chwalić miasto z widokówek i przekładać je nad obecne, dbając jednak, aby swój żal z powodu przemian utrzymywać w granicach ściśle określonych reguł: przyznać, że przepych i rozkwit wielkomińskiej Maurilii nie rekompensują pewnego utraconego czaru, który jednak przebija dopiero teraz ze starych pocztówek, podczas gdy kiedyś, patrząc na prowincjonalną Maurilię, nie sposób było w niej dostrzec jakiegokolwiek uroku, a już na pewno byłaby go pozbawiona dzisiaj, gdyby pozostała bez zmian, zaś metropolia ma niewątpliwie tę dodatkową atrakcję, że poprzez to, czym się stała, można wspominać z nostalgią to, czym była.

Pilnujcie się, by im nie powiedzieć, że czasem różne miasta następują po sobie w tym samym miejscu i pod tą samą nazwą, rodzą się i umierają, nie znając się wzajemnie, pozbawione punktów stycznych. Czasem nie zmieniają się imiona mieszkańców, akcent ich mowy, a nawet rysy twarzy; lecz odeszli bez słowa bogowie, którzy mieszkają pod nazwami i ponad miejscami, a zamiast nich zagnieździł się tam bogowie obcy. Próżno byłoby zadawać sobie pytanie, czy są oni lepsi, czy gorsi od dawnych, ponieważ nie ma między nimi żadnego związku, tak jak stare widokówki nie przedstawiają Maurilii w jej poprzedniej postaci, lecz inne miasto, które przypadkowo, tak jak to, nazywało się Maurilia.

Miasta i pragnienia. 4.

Pośrodku Fedory, metropolii z szarego kamienia, stoi metalowy pałac, a każda jego komnata mieści szklaną kulę. W głębi każdej kuli można zobaczyć błękitne miasto, które jest modelem innej Fedory. Są to kształty, jakie mogło przybrać miasto, gdyby, z tego czy innego powodu, nie nadano mu jego dzisiejszej postaci. W każdej epoce ktoś, patrząc na współczesną mu Fedorę, wyobrażał sobie, w jaki sposób uczynić z niej miasto doskonałe, ale podczas gdy budował jej miniaturowy model, Fedora przestawała już być taka jak przedtem i to, co wczoraj jeszcze stanowiło jej możliwą przyszłość, stawało się tylko zabawką w szklanej kuli.

W pałacu szklanych kul znajduje się teraz muzeum Fedory: każdy z mieszkańców je zwiedza, wybiera miasto, które odpowiada jego pragnieniom, wpatruje się w nie, wyobrażając sobie, że przegląda się w pełnym meduz basenie, gdzie miały się zbierać wody kanału (gdyby go nie osuszono), że przemierza na wyżynach palankinu aleję zarezerwowaną dla słoni (wgnanych obecnie z miasta), że sunie w dół ze szczytu spiralnego minaretu (który nie znalazł już dla siebie cokołu).

Na mapie twego cesarstwa, Wielki Chanie, powinna znaleźć miejsce zarówno wielka Fedora z kamienia, jak i małe Fedory w szklanych kulach. Nie dlatego, żeby wszystkie one były równie rzeczywiste, lecz dlatego, że wszystkie istnieją tylko w założeniu. Pierwsza zawiera to, co uznano za konieczność, choć jeszcze konieczne nie jest; pozostałe – to, co pomyślane jako możliwość, po chwili nie jest już możliwe.

Miasta i znaki. 3.

Człowiek, który podróżuje, nie znając jeszcze miasta, jakie oczekuje go po drodze, zadaje sobie pytanie, jak będzie wyglądał pałac królewski, koszary, młyn, teatr, bazar. W każdym z miast imperium budynki różnią się od siebie i następują w odmiennej kolejności, lecz cudzoziemiec, skoro tylko przybędzie do nieznanego miasta i rzuci okiem w głąb tej szyszki pagód i świetlików, i strychów, śledząc zygzaki kanałów ogródków warzywnych śmietnisk, z miejsca wyróżni pałace książęce, świątynie wielkich kapłanów, rozpozna zajazd, więzienie, dzielnicę złodziei. W ten sposób – powiadają niektórzy – potwierdza się hipoteza, że każdy człowiek nosi w umyśle miasto złożone z samych różnic, miasto bez figur i bez kształtu, wypełniane przez poszczególne miasta.

Inaczej sprawa przedstawia się w Zoe. W dowolnym jej miejscu można by na przemian spać, wyrabiać narzędzia, gotować, gromadzić złote monety, rozbierać się, królować, sprzedawać, zasięgać rady wyroczeni. Każdy dach w kształcie piramidy mógłby kryć lazaret trędowatych równie dobrze jak łaźnię odalisek. Podróżny krąży po ulicach i bezustannie nachodzą go wątpliwości: skoro nie jest w stanie rozróżnić punktów miasta, również w jego umyśle mieszkają się punkty dotychczas wyraźnie wyodrębnione. Wnioskuje stąd: jeśli całe istnienie jest tym samym we wszystkich swoich przejawach, miasto Zoe – to miejsce niepodzielnego istnienia. Ale skoro tak, na cóż miasto? Jaka linia oddziela to, co wewnątrz, od tego, co na zewnątrz, turkot kół od wycia wilków?

Zwiewne miasta. 2.

Opowiem teraz o mieście Zenobii, które odznacza się taką osobliwością: chociaż położone na suchym terenie, wznosi się na wysokich palach, a domy są zbudowane z bambusa i cynku, z licznymi galeryjkami i balkonami, rozmieszczone na różnych poziomach, wsparte na krzyżujących się żerdziach, połączone wiszącymi drabinami i pomostami, zwieńczone stożkowymi daszkami nad tarasami, skąd roztacza się widok, beczkami zbiorników na wodę i obracającymi się chorągiewkami; sterczą z nich kołowroty, wędki i żurawie.

Nikt nie pamięta, jaka potrzeba czy przykazanie, czy pragnienie, skłoniły założycieli Zenobii do nadania swemu miastu takiego właśnie kształtu, a przez to nie można ustalić, czy ich zamierzeniu odpowiada miasto w dzisiejszej postaci, powstałe może przez nakładanie się dalszych warstw na pierwotny, niemożliwy już do rozszyfrowania projekt. Ale pewne jest, że mieszkaniec Zenobii, jeśli zapytać go, jak wyobraziłby sobie szczęśliwe życie, odmaluje zawsze miasto takie jak Zenobia, z jej palami i podwieszonymi drabinami, może całkiem odmienną Zenobię łopoczącą sztandarami i wstęgami, lecz w każdym wypadku uzyskaną przez kombinację elementów pierwotnego modelu.

Po tym, co rzekłem, nie warto już ustalać, czy Zenobię należy zaliczyć do miast szczęśliwych czy nieszczęśliwych. Podział taki nie ma sensu, bo miasta dzielą się na dwa inne rodzaje: na te, które poprzez lata i przemiany nadal narzucają pragnieniom własną formę, i na te, w których pragnienia bądź zdołają zatrzeć kształt miasta, bądź kształt miasta je zaciera.

Miasta i wymiana. 1.

Ujehawszy osiemdziesiąt mil pod wiatr północno-zachodni, przybywa się do miasta Eufemii, gdzie kupcy siedmiu narodowości zjeżdżają na każde przesilenie letnie i zimowe i na każde zrównanie dnia z nocą. Barka, która przybija tam z ładunkiem imbiru i bawełny, odpłynie z kadłubem wypełnionym po brzegi orzeszkami pistacjowymi i makiem, a karawana, zaledwie wyładowała worki z gałką muszkatolową i rodzynekami, już wiąże juki, szykując się do powrotu z belami złocistego muślinu. Ale nie tylko wymiana towarów, które możesz odnaleźć na wszystkich bazarach imperium Wielkiego Chana i poza jego granicami, rozrzucone u twoich stóp na takich samych żółtych matach, w cieniu identycznych moskitier, oferowane po tych samych oszukańczo obniżanych cenach, pcha cię do podróży w górę rzek i poprzez pustynie, żeby dotrzeć aż tutaj. Do Eufemii przyjeżdża się nie tylko po to, aby sprzedawać i kupować, ale też dlatego, że nocą, wokół całego targu, siedząc na workach czy beczkach lub leżąc na stosach dywanów, na każde wypowiedziane przez kogoś słowo – jak „wilk”, „siostra”, „ukryty skarb”, „bitwa”, „świerzb”, „kochankowie” – wszyscy pozostali zaczynają opowiadać własne historie o wilkach, siostrach, skarbach, kochankach, bitwach. A ty wiesz, że w czekającej cię długiej podróży, kiedy, aby nie dać się uśpić kołysaniu wielbłąda czy dżonki, zaczynasz przywoływać kolejno wszystkie swoje wspomnienia, twój wilk stanie się innym wilkiem, twoja siostra – inną siostrą, twoja bitwa – innymi bitwami, w drodze powrotnej z Eufemii, miasta, gdzie cztery razy do roku wymienia się wspomnienia.

...Nowo przybyły i całkiem nieobeznany z językami Wschodu, Marko Polo mógł wypowiadać się jedynie za pośrednictwem wyciąganych z tobołów przedmiotów: bębnow, solonych ryb, naszyjników z kłów guźca, wskazując na nie gestami, skokami, okrzykami zachwytu lub zgrozy, albo naśladując szczekanie szakala i pohukiwanie płomykówki.

Nie zawsze związki między jednym a drugim elementem opowiadania były jasne dla cesarza; przedmioty mogły mieć różne znaczenie: kołczan pełen strzał wskazywał to zbliżanie się wojny, to obfitość zwierzyny, to warsztat łucznika; klepsydra mogła oznaczać czas, który upływa lub upłynął, albo piasek, lub miejsce, gdzie wyrabia się klepsydry.

Lecz tym, co kazało Kubłajowi cenić każdy fakt czy wiadomość, przekazywane przez niezdolnego wysłować się informatora, była pozostająca wokół nich przestrzeń, pustka niezapełniona słowami. Opisy miast, które zwiedził Marko Polo, odznaczały się wspólną zaletą: można było krążyć po nich myślą, gubić się, przystawać dla ochłody lub pędem z nich uciec.

Z upływem czasu w opowiadaniach Marka słowa zastępowały stopniowo przedmioty i gesty: najpierw okrzyki, oderwane nazwy, suche czasowniki, potem całe zwroty, rozgałęzione i ozdobne zdania, figury stylistyczne, przenośnie. Cudzoziemiec nauczył się posługiwać językiem cesarza lub cesarz zaczął rozumieć mowę cudzoziemca.

Ale rzekłbyś, że ich porozumienie nie było już tak pełne jak kiedyś: rzecz jasna słowa służyły lepiej niż przedmioty i gesty do wyliczania tego, co najważniejsze dla każdej prowincji i miasta: zabytków, targowisk, obyczajów, fauny i flory; jednakże kiedy Polo zaczynał mówić o tym, jakie może być życie w tych miejscach, dzień po dniu, wieczór po wieczorze, słowa przestawały wystarczać i stopniowo powracał do gestów, grymasów, spojrzeń.

I tak, dla każdego miasta, po podstawowych wiadomościach ujętych precyzyjnie w słowa, ciągnął dalej niemy komentarz ruchów rąk, unoszonych do góry dłonią, grzbietem albo kantem, prosto lub ukośnie, raptownie lub powoli. Nawiązał się między nimi nowy rodzaj dialogu: białe, upierścienione dłonie Wielkiego Chana odpowiadały powściągliwymi poruszeniami zwinnym, sękatym rękoma kupca. W miarę jak rosło między nimi zrozumienie, dłonie zaczęły przybierać ustalone położenia, z których każde odpowiadało powtarzającym się na przemian stanom ducha. I podczas gdy słownik rzeczy odnawiał się wraz z próbkami towarów, repertuar niemych komentarzy zamykał się i utrwał. Z mniejszą też przyjemnością posługiwali się obaj tym językiem: w czasie swych rozmów trwali przeważnie w milczeniu i bez ruchu.

III

Kublaj-chan uprzytomnił sobie, że miasta Marka Polo są do siebie podobne, jakby przejście od jednego do drugiego wymagało nie tyle podróży, co wymiany elementów. Odtąd, z każdego miasta, które mu Marko opisywał, umysł Wielkiego Chana wyruszał samodzielnie i po rozłożeniu miasta na elementy odbudowywał je na inny sposób, wymieniając składniki, przemieszczając je, odwracając.

W tym czasie Marko dalej ciągnął sprawozdanie z podróży, ale cesarz już go nie słuchał, przerywał:

– Odtąd ja będę opisywał miasta, a ty będziesz sprawdzał, czy istnieją i czy są takie, jak je wymyśliłem. Na początek zapytam cię o miasto schodzące w dół tarasami, wystawione na poddmuchy sirocco, nad półkolistą zatoką. Teraz wymienię kilka cudów, jakie się w nim mieszczą: szklane akwarium, wysokie jak katedra, w którym można śledzić pływanie i skoki ryb latających i snuć na ich podstawie przepowiednie; palma, której liście grają na wietrze jak harfa; plac otoczony marmurowym stołem w kształcie podkowy, z obrusem wykonanym także z marmuru, zastawionym marmurowymi potrawami i napojami.

– Nie słuchałeś mnie uważnie, panie. O tym właśnie mieście opowiadałem ci, kiedy mi przerwałeś.

– Znasz je? Gdzie leży? Jak się nazywa?

– Nie ma nazwy ani położenia. Powtórzę przyczynę, dla której je opisywałem: spośród wyobrażalnych miast należy wykluczyć te, których elementy sumują się bez wyraźnego wątku, bez wewnętrznej zasady, perspektywy, własnego wątku. Z miastami jest jak ze snami: wszystko, co wyobrażalne, może się przyśnić, ale nawet najbardziej zaskakujący sen jest rebusem, który kryje w sobie pragnienie lub jego odwrotną stronę – lęk. Miasta, jak sny, są zbudowane z pragnień i lęków, nawet jeśli wątek ich mowy jest utajony, zasady – absurdałne, perspektywy – złudne, a każda rzecz kryje w sobie inną.

– Nie mam pragnień ani lęków – oświadczył Chan – a moje sny układa umysł lub przypadek.

– Miasta również uważają się za dzieło umysłu lub przypadku, ale ani umysł, ani przypadek nie wystarczają do podtrzymania ich murów. To, co sprawia ci radość w mieście – to nie jego siedem czy siedemdziesiąt siedem cudów, ale odpowiedź, jakiej udziela na twoje pytanie.

– Albo pytanie, jakie zadaje, zmuszając cię do odpowiedzi, jak Teby przez usta Sfinksa.

Miasta i pragnienia. 5.

A stamtąd, po sześciu dniach i siedmiu nocach przybywa się do Zobeidy, białego miasta, wystawionego na światło księżyca, o ulicach wijących się na kształt kłębka. O jego założeniu mówi taka opowieść: mężczyznom różnych narodowości przyśnił się ten sam sen: widzieli odwróconą tyłem kobietę, jak biegła nocą przez nieznanie miasto, miała długie włosy i była naga. Śnili, że ją ścigają. Biegli, biegli, aż w końcu każdy stracił ją z oczu. Po przebudzeniu wyruszyli na poszukiwanie owego miasta; nie napotkali go, ale spotkali się ze sobą; postanowili zbudować miasto ze snu. W układzie ulic każdy odtworzył trasę własnego pościgu; w miejscu, gdzie zgubił ślad uciekinierki, wyznaczał rozmieszczenie przestrzeni i murów odmiennie niż we śnie, tak aby nie mogła mu się wymknąć.

Było to miasto Zobeida, w którym osiedlili się w oczekiwaniu, że pewnej nocy owa scena powtórzy się. Kobiety nie ujrzały już żaden z nich, ani we śnie, ani na jawie. Ulice miasta były ich codzienną drogą do pracy, utraciły już wszelki związek z pościgiem ze snu. O którym zresztą dawno zapomniano.

Nowi ludzie przybywali z innych krajów, ponieważ przyśnił im się ten sam sen i w mieście Zobeidzie rozpoznawali coś z ulic ze snu i zmieniali położenie krążganków i schodów, aby lepiej przypominały trasę, którą biegła ścigana kobieta, i żeby w miejscu, gdzie zniknęła, nie pozostawić jej drogi ucieczki.

Pierwsi przybysze nie rozumieli, co przyciągało tych ludzi do Zobeidy, do tego brzydkiego miasta, do tej pułapki.

Miasta i znaki. 4.

Spośród wszystkich przemian języka, którym podróżny musi stawić czoło w dalekich stronach, nic nie dorównuje tej, jaka czeka go w mieście Hypacji, ponieważ dotyczy ona nie słów, lecz rzeczy. Wjechałem do Hypacji rankiem, magnoliowy ogród odbijał się w lazurowych lagunach, szedłem wśród żywopłotów, przekonany, że odkryję młode i powabne damy w kąpeli: ale w głębi wody raki wgryzały się w oczy samobójczyń z kamieniem uwiązany u szyi i włosami zielonymi od wodorostów.

Poczułem się oszukany i chciałem szukać sprawiedliwości u sułtana. Wszedłem po porfirowych schodach do pałacu o najwyższych kopułach, przemierzyłem sześć majolikowych dziedzińców z wodotryskami. Środkowa sala była zagrodzona kratami: skazańcy, z czarnymi łańcuchami u nóg, wydobywali bloki bazaltu z otwierającej się w podziemiach kopalni.

Pozostało mi zasięgnąć rady filozofów. Wszedłem do wielkiej biblioteki, zabłądziłem wśród regałów trzaskających pod ciężarem pergaminowych opraw, szedłem według porządku alfabetycznego zaginionych alfabetów, w górę i w dół, po korytarzach, drabinkach i pomostach. W najodleglejszym gabinecie papirusów, w chmurze dymu, ukazały mi się oglupiałe oczy wyciągniętego na macie wyrostka, który nie odrywał ust od opiumowej fajki.

– Gdzie jest mędrzec?

Palacz wskazał za okno. Był to ogród zabaw dziecięcych: kręgle, huśtawka, bąk. Filozof siedział na trawie. Powiedział:

– Znaki tworzą język, ale nie ten, który – jak sądzisz – jest ci znany.

Pojąłem, że muszę uwolnić się od obrazów, które dotychczas obwieszczały mi to, czego szukałem: dopiero wówczas uda mi się zrozumieć język Hypacji.

Teraz wystarczy mi usłyszeć rzenie koni i świst batów, a już ogarnia mnie miłosny niepokój: w Hypacji musisz wejść do stajni i ujeżdżalni, żeby zobaczyć, jak sadowią się w siodle piękne kobiety z obnażonymi udami i nagolennikami na łydkach, a skoro tylko zbliży się młody cudzoziemiec, obalają go na sterty siana i trocin i napierają nań jędrnymi sutkami.

A kiedy mój duch pragnie tylko muzyki dla otuchy i pokrzepienia, wiem, że należy jej szukać na cmentarzach: grający kryją się po mogiłach; od grobu do grobu odpowiadają sobie trele fletów, akordy harf.

Bez wątpienia także w Hypacji nastanie dzień, kiedy moim jedynym marzeniem będzie odjechać. Wiem, że zamiast schodzić do portu, będę musiał wspiąć się na najwyższą wieżyczkę warowni i czekać, aż przepłynie tamtędy statek. Ale czy to nastąpi? Nie ma języka bez pułapek.

Zwiewne miasta. 3.

Czy Armilla jest taka, bo jej nie ukończono lub ją zburzono, czy kryją się za tym czary czy tylko kaprys, tego nie wiem. Dość, że nie ma murów, stropów ani podłóg: nie ma niczego, co upodobniałoby ją do miasta, z wyjątkiem rur wodociągowych, które wznoszą się pionowo tam, gdzie powinny stać domy, i rozgałęziają, gdzie powinny być piętra: las rur zakończonych kranami, prysznicami, syfonami, przelewami. Na tle nieba bieleje parę umywalek, wanien czy innych wyrobów z majoliki, jak spóźnione owoce, które pozostały na gałęziach. Rzekłbyś, że hydraulicy ukończyli pracę i odeszli przed przybyciem murarzy; albo że ich niezniszczalne instalacje oparły się katastrofie, trzęsieniu ziemi lub atakom termitów.

Porzucona, zanim ją zamieszkało, a może dopiero później, Armilla nie jest przecież bezludna. W dowolnej porze, podnosząc wzrok pośród rur, nierzadko dostrzega się jedną lub wiele młodych kobiet, smukłych, niewysokich, które pływają w wannach, wyginają pod zawieszonymi w próżni prysznicami, myją się lub wycierają albo perfumują lub czeszą przed lustrem długie włosy. W słońcu błyszczą pasma wody rozrzucone wachlarzem przez prysznice, strumienie płynące z kranów, bryzgi, rozpryski, piana z gąbek.

Oto do jakiego doszedłem wytłumaczenia: paniami biegów wody, skierowanych do przewodów Armilli, pozostały nimfy i najady. Przywykłym poruszać się w górę podziemnych prądów, łatwo było zapuścić się w nowe wodne królestwo, wypłynąć z pomnożonych źródeł, znaleźć nowe lustra, nowe igraszki, nowe sposoby radowania się wodą. Możliwe, że ich inwazja wyparła ludzi, a może ludzie zbudowali Armillę jako dar ofiarny, żeby wejść w łaski nimf, które obrazili przez naruszenie wód. Jakkolwiek było, teraz kobiety te robią wrażenie zadowolonych: rankiem słysząc ich śpiew.

Miasta i wymiana. 2.

W wielkim mieście Chloe przechodnie na ulicach nie znają się. Patrząc na siebie, wyobrażają sobie tysiące spraw, spotkania, jakie mogłyby się między nimi zdarzyć, rozmowy, niespodzianki, pieszczoty, ugryzienia. Ale nikt nikomu się nie kłania, spojrzenia krzyżują się na sekundę i zaraz przed sobą uciekają, szukają innych spojrzeń, nie zatrzymują się.

Przechodzi dziewczyna, kołysząc opartą na ramieniu parasolką, a także, leciutko, okrągłością bioder. Przechodzi kobieta w czerni, po której znać jej wszystkie lata, z wargami, które drżą pod welonem, i niespokojnymi oczami. Przechodzi wytatuowany olbrzym; młody człowiek o siwych włosach; karlica; bliźniaczki w koralowych sukienkach. Coś przebiega między nimi, spojrzenia wymieniane jak linie, które łączą ze sobą figury, kreśląc strzałki, gwiazdy, trójkąty, dopóki po chwili nie wyczerpią się wszystkie kombinacje, a na scenie nie pojawią się inne postaci: ślepiec z gepardem na łańcuchu, kurtyzana z wachlarzem ze strusich piór, efeb, baba-grzmot. I tak między ludźmi, którzy przypadkiem schronili się wspólnie w bramie przed deszczem albo tłoczą się pod namiotem bazaru lub zatrzymują, żeby posłuchać orkiestry ulicznej, dopełniają się spotkania, zaloty, uściski, orgie, przy czym nie pada ani jedno słowo, nikt nikogo nie dotyka czubkiem palca, prawie nie podnosi się oczu.

Chloe, najobyčajniejsze z miast, wibruje bezustannie lubieżnym drzeniem. Gdyby kobiety i mężczyźni zaczęli przeżywać swoje ulotne marzenia, każdy cień stałby się osobą dającą początek historii pościgów, kłamstw, nieporozumień, scysji, udręczeń, i znieruchomiłaby karuzela wyobraźni.

Miasta i oczy. 1.

Starożytni zbudowali Valdradę na brzegach jeziora, z domami całymi w piętrzących się jedna nad drugą werandach i z wysokimi ulicami, których balustrady wychylają się nad wodą. I tak podróżny, kiedy do niej przyjeżdża, widzi dwa miasta: jedno wzniesione nad jeziorem i drugie odbite, odwrócone. Nie istnieje ani nie dzieje się nic w jednej Valdradzie, czego by druga Valdrada nie powtórzyła, bowiem miasto tak zbudowano, aby każdy jego punkt odbijał się w zwierciadle, a podwodna Valdrada zawiera nie tylko wszystkie rowkowania i wypukłości fasad, które wznoszą się nad jeziorem, ale również wnętrza pokojów z sufitami i podłogami, perspektywę korytarzy, lustra szaf.

Mieszkańcy Valdrady wiedzą, że każdy ich czyn jest zarazem czynem i jego lustrzanym obrazem, któremu dane jest szczególne dostojeństwo właściwe obrazom, i ta świadomość nie pozwala im ani na chwilę zdać się na przypadek i zapomnienie. Nawet kiedy kochankowie wyginają nagie ciała, ocierając się skórą o skórę, szukając pozycji, w której mogą brać nawzajem od siebie więcej rozkoszy, nawet kiedy mordercy wbijają nóż w czarne żyły szyi i im obficie tryska pełna skrzepów krew, tym głębiej pchają ostrze, które ślizga się między ścięgnami, ważne są nie tyle ich spółkowanie i morderstwa, co spółkowanie i morderstwa ich przejrzystych i zimnych wizerunków w zwierciadle.

Lustro to przydaje rzeczom wartości, to ją odbiera. Nie wszystko, co ponad lustrem zdaje się mieć wartość, wytrzymuje próbę odbicia. Dwa bliźniacze miasta nie są identyczne, bo nic z tego, co istnieje lub dzieje się w Valdradzie, nie jest symetryczne: każdej twarzy i ruchowi odpowiadają ze zwierciadła twarz i ruch dokładnie odwrotne. Dwie Valdrady żyją jedna dla drugiej, patrząc sobie bezustannie w oczy, ale się nie kochają.

Wielkiemu Chanowi przyśniło się miasto; opisuje je Markowi:

– Port jest zacieniony, wystawiony ku północy. Nabrzeża wznoszą się wysoko nad czarną wodą, która uderza o burty; schodzą tam śliskie od wodorostów kamienne schody. Pokryte smołą przycumowane łodzie oczekują pasażerów, którzy na molo przeciągają pożegnania z rodzinami. Rozstania odbywają się w milczeniu, ale wśród łez. Jest zimno; wszyscy mają szale na głowach. Wołanie przewoźnika przerywa ociągania; podróżny kuli się u dziobu, oddala się, patrząc w stronę garstki pozostających; z brzegu nie sposób już rozróżnić rysów twarzy; jest mgła; łódź dobija do statku stojącego na kotwicy; postać, zmaląła, wspina się po drabince; znika; słychać, jak trąc o kluzę, podnosi się zardzewiały łańcuch. Ci, którzy pozostali, opierają się o przypory ponad skałami nabrzeża, aby śledzić wzrokiem statek, aż do chwili gdy minie przylądek; powiewają po raz ostatni białą szmatką.

– Ruszaj w podróż, zbadaj wszystkie wybrzeża i poszukaj tego miasta – mówi Chan do Marka. – Potem wróc mi powiedzieć, czy mój sen odpowiada prawdzie.

Wybacz mi, partie; niewątpliwie wcześniej czy później odbiję od tego mola – mówi Marko – ale nie wrócę, żeby ci o tym opowiedzieć. Miasto to istnieje, a jego sekret jest prosty: zna tylko odjazdy, a nie powroty.

IV

Z wargami zaciśniętymi na bursztynowym cybuchu fajki, z brodą rozplaszczoną o ametystowy naszyjnik, z wielkimi palcami wygiętymi nerwowo w jedwabnych pantoflach, Kubłaj-chan wysłuchiwał relacji Marka Polo, nie unosząc powiek. Były to wieczory, kiedy ciążyły mu na sercu opary melancholii.

– Twoje miasta nie istnieją. Może nigdy nie istniały. Z całą pewnością nie będą już istnieć. Po co pocieszasz się złudnymi bajkami? Dobrze wiem, że moje imperium rozkłada się jak trup w grzędawisku, który zaraża zarówno dziobiące go kruki, jak i bambusy nawożone jego jadem. Czemu o tym mi nie mówisz? Czemu okłamujesz, cudzoziemcze, cesarza Tatarów?

Polo umiał wtórować czarnym nastrojom władcy.

– Tak, imperium jest chore, a co gorsza usiłuje się przyzwyczaić do nękających je boleści. Moje wyprawy mają taki cel: badając dostrzegalne jeszcze ślady szczęścia, mierzę jego niedostatek. Jeśli chcesz wiedzieć, ile mroku cię otacza, musisz wyteńczyć wzrok w stronę nikłych światła w oddali.

Czasami natomiast nawiedzały Chana napady euforii. Podnosił się z poduszek, przemierzał długimi krokami dywany rozciągnięte pod jego stopami na trawnikach, opierał się o balustrady tarasów, aby ogarnąć zachwyconym spojrzeniem obszary pałacowych ogrodów, oświetlonych rozwieszonymi na cedrach lampionami.

– A przecież wiem – mówił – że moje cesarstwo jest zrobione z krystalicznej materii i wiąże swoje cząstki według doskonałego wzoru. Wśród fermentu pierwiastków przybiera formę wspaniałego diamentu niezwyklej twardości, ogromnej góry, oszlifowanej i przejrzystej. Dlaczego twoje wrażenia z podróży nie wychodzą poza zawodne pozory i nie ujmują tego niepowstrzymanego procesu? Czemu zagłębiasz się w nieistotne melancholie? Czemu skrywasz przed cesarzem wielkość jego losu?

A na to Marko:

– Podczas gdy na twój znak, najjaśniejszy panie, wznosi swe nieskalane mury miasto jedyne i ostateczne, ja zbieram popioły innych możliwych miast, znikających, by uczynić mu miejsce, a których nie można już będzie odbudować ani zapamiętać. Tylko jeśli poznasz resztkę nieszczęścia, której nie zdoła okupić żaden drogocenny kamień, będziesz mógł wyliczyć dokładną liczbę karatów, ku której zmierzać ma końcowy diament, i nie przeliczysz się w swym zamierzeniu już u zarania.

Miasta i znaki. 5.

Nikt lepiej od ciebie nie wie, mądry Chanie, że nie należy nigdy mylić miasta ze słowami, które je opisują. A przecież istnieje między nimi związek. Jeśli opisuję ci Oliwię, miasto bogate w wyroby i zyski, aby ukazać jego dobrobyt, mogę tylko mówić o pałacach z filigranu, z frędzlami poduszek na parapetach biforiów; wodotrysk wirujący za kratą patia zrasza trawnik, gdzie roztacza ogon biały paw. Ale z tych słów ty od razu zrozumiesz, że Oliwię spowija chmura sadzy i smaru, która oblepia ściany domów; że w ciasnocie ulic zawracające przyczepy przygniatają pieszych do murów. Jeśli mam ci opowiedzieć o pracowitości mieszkańców, będę mówił o pachnących skórą warsztatach rymarzy, o kobietach, które szczebioczą, wyplatając chodniki z rafii, o spadzistych kanałach, których kaskady poruszają młyńskie koła; ale obraz wywołany tymi słowami w twoim świątłym umyśle – to ruch, który przybliży trzpień do zębów frezarki, powtarzany tysiące razy przez tysiące rąk, w rytmie wyznaczonym dla całej zmiany. Jeśli mam ci wyjaśnić, jak duch Olivii zdąży ku swobodnemu życiu i wyrafinowanej cywilizacji, będę mówił o damach, które nocą pływają ze śpiewem w oświetlonych canoe między brzegami zielonego zalewu; ale tylko po to, aby ci przypomnieć, że na przedmieściach, gdzie co wieczór wysypuje się mrowie mężczyzn i kobiet, jak szeregi lunatyków, zawsze znajdzie się ktoś, kto w ciemności wybuchnie śmiechem, da upust żartom i sarkazmom. Nie wiesz może tego: żeby opowiedzieć o Olivii, nie mógłbym użyć innych słów. Gdyby naprawdę istniała Olivia biforiów i paw, rymarzy i tkaczy dywanów, i canoe, i zalewów, byłaby ona nędzną dziurą, czarną od much i żeby ją opisać, musiałbym uciec się do przenośni sadzy, skrzypienia kół, powtarzanych ruchów, sarkazmów. Słowa nie kłamią, kłamią rzeczy.

Zwiewne miasta. 4.

Miasto Sofronia składa się z dwóch półmiast. Jedno mieści karuzelę z aureolą łańcuchów, wielką kolejkę górską o stromych grzbietach, diabelski młyn, ścianę śmierci, po której pędzą głową w dół motocykliści, kopułę cyrku ze zwisającymi pośrodku gronami trapezów. Drugie półmiasto jest z kamienia, marmuru i cementu, z bankiem, fabrykami, kamienicami, rzeźnią, szkołą i całą resztą. Jedna z połówek jest stała, druga – prowizoryczna, i kiedy upłynie czas jej postoju, wyrywa się gwoździe, rozmontowuje się ją i zabiera, aby przesiedlić na niezabudowane tereny innego półmiasta.

I tak co roku przychodzi dzień, w którym robotnicy zrywają marmurowe frontony, zwalają kamienne mury i betonowe filary, rozmontowują ministerstwo, pomnik, doki, rafinerię ropy, szpital, ładują je na przyczepy, aby pojechać doroczną trasą od placu do placu. Pozostaje na miejscu połowa Sofronii złożona ze strzelnic i karuzeli, z zawieszonym w powietrzu wrzaskiem, który wydobywa się z pędzącego w dół wagonika kolejki, i zaczyna liczyć, ile miesięcy, ile dni musi czekać, nim powróci karawana i rozpocznie się znowu pełnia życia.

Miasta i wymiana. 3.

Wjechawszy na terytorium, którego stolicą jest Eutropia, podróżny widzi niejedno, lecz wiele miast, równej wielkości i niezbyt różniących się od siebie, rozsianych po rozległym, sfalowanym płaskowyżu. Eutropia – to nie jedno z nich, ale wszystkie te miasta razem wzięte; tylko jedno jest zamieszkane, pozostałe – puste; a dzieje się tak po kolei. I powiem wam teraz, jakim sposobem. W dniu, kiedy mieszkańcy Eutropii czują, jak ogarnia ich znużenie, i nikt nie może już znieść swego zawodu, krewnych, domu i ulicy, ludzi, którym należy się ukłonić lub którzy mu się kłaniają, wówczas cała ludność postanawia przenieść się do pobliskiego miasta, które czeka puste i jak nowe, każdy wybierze tam inny zawód, inną żonę, otwierając okno, zobaczy nowy krajobraz, będzie spędzał wieczory wśród innych rozrywek przyjaźni przekleństw. W ten sposób ich życie odnawia się od przeprowadzki do przeprowadzki, wśród miast, z których każde, dzięki położeniu lub nachyleniu albo biegom rzek czy wiatrom, różni się nieco od pozostałych. A że w układzie ich społeczeństwa brak większych różnic bogactwa czy władzy, przejścia od jednej do drugiej funkcji odbywają się niemal bez wstrząsów; liczba stanowisk zapewnia urozmaicenie, toteż w ciągu jednego życia rzadko się zdarza, aby ktoś powrócił do wykonywanego już uprzednio zawodu.

W ten sposób miasto przeżywa wciąż na nowo to samo życie, przesuwając się w górę i w dół po swej pustej szachownicy. Mieszkańcy od nowa odgrywają te same sceny z różnymi aktorami; wypowiadają te same kwestie z odmiennie rozłożoną intonacją; otwierają na przemian usta w takich samych ziewnięciach. Jedyna spośród wszystkich miast cesarstwa Eutropia pozostaje niezmienna. Merkury, opiekun niestałych, któremu poświęcone jest miasto, uczynił ten dwuznaczny cud.

Miasta i oczy. 2.

Miasto Zembruda bierze swój kształt od nastroju tego, kto je ogląda. Jeśli przechodzisz przez nie, pogwizdując, z nosem uniesionym w ślad za gwizdem, poznajesz je od dołu ku górze: gzymsy, powiewające firanki, wodotryski. Jeśli idziesz z podbródkiem opuszczonym na pierś, z paznokciami wbitymi w dłonie, twoje spojrzenia będą grzęzły w ziemi, w rynsztokach, w otworach ściekowych, w rybich ościach, w wyrzuconych papierach. Nie można powiedzieć, że jeden obraz miasta jest bardziej prawdziwy od drugiego, ale o górnej Zembrudzie usłyszysz głównie od tych, którzy wspominają ją, pogrążając się w dolnej Zembrudzie, przebywając codziennie te same odcinki ulic i odnajdując każdego ranka zły humor z poprzedniego dnia, zaschnięty u podnóża murów. Dla wszystkich, wcześniej czy później, przychodzi dzień, kiedy opuszczamy wzrok wzdłuż rynien i nie jesteśmy już zdolni oderwać go od bruku. Nie wyklucza się odwrotnego wypadku, lecz jest on rzadszy. Toteż krążymy dalej ulicami Zembrudy z oczami, które wkopują się już pod piwnice, fundamenty, studnie.

Miasta i nazwa. 1.

Niewiele umiałbym ci powiedzieć o Aglaurze, oprócz tego, co sami jej mieszkańcy odwiecznie powtarzają: szereg przysłowiowych cnót, równie przysłowiowych wad, parę dziwactw, pedantyczne przywiązanie do kilku zasad.

Dawni obserwatorzy, których wiarogodności nie ma powodu podawać w wątpliwość, przypisali Aglaurze jej trwałą zestaw przymiotów, zapewne porównując je z cechami innych współczesnych im miast. Być może od tamtej pory ani Aglaura, o której się mówi, ani Aglaura, którą się widzi, nie uległy większym zmianom, ale to, co było ekstrawaganckie, stało się zwyczajne, w osobliwość zmieniło się to, co uchodziło za normę, a cnoty i wady straciły blask lub niesławę w zespole odmiennie rozłożonych cnót i wad. W tym sensie nie jest prawdą nic z tego, co mówi się o Aglaurze, a mimo to z opowieści wyłania się trwały i zwarty obraz miasta, podczas gdy luźne sądy, które można wysnuć, żyjąc w nim, nie mają takiej spoistości. Rezultat jest taki: miasto, o którym się mówi, ma wiele z tego, co potrzebne do istnienia, zaś miasto, które istnieje na jego miejscu, istnieje w mniejszym stopniu.

Gdybym chciał zatem opisać ci Aglaurę, trzymając się tego, co sam widziałem i czego doświadczyłem, musiałbym ci powiedzieć, że jest to miasto przygaszone, bez charakteru, przypadkowe. Ale to też nie byłoby prawdą: o pewnych porach dnia, w perspektywie niektórych ulic, stajesz twarzą w twarz z przecuciem czegoś niepowtarzalnego, rzadkiego, może wspaniałego; chciałbyś to wyrazić, ale wszystko, co dotychczas powiedziano o Aglaurze, więzi słowa i zmusza cię, abyś odtwarzał zdania zamiast je tworzyć.

Toteż mieszkańcy sądzą, że zamieszkują nadal Aglaurę, która wyrasta tylko na nazwie Aglaura, i nie dostrzegają Aglaury, która wyrasta na ziemi. I także mnie, który pragnąłbym zachować odrębnie w pamięci oba miasta, pozostaje tylko mówić ci o jednym z nich, bo wspomnienie o drugim rozwiało się, skoro zabrakło słów, aby je utrwalić.

– Odtąd ja będę opisywał miasta – powiedział Chan. – Ty w swoich podróżach będziesz sprawdzał, czy istnieją.

Ale miasta, które zwiedzał Marko Polo, różniły się zawsze od miast, które wymyślał cesarz.

– A przecież zbudowałem w moim umyśle model miasta, z którego da się wyprowadzić wszystkie możliwe miasta – powiedział Kubłaj. – Zawiera on wszystko, co odpowiada normie. Ponieważ istniejące miasta w różnym stopniu od normy odbiegają, wystarczy mi przewidzieć odstępstwa od normy i wyliczyć ich najbardziej prawdopodobne kombinacje.

Ja też wymyśliłem model miasta, z którego wyprowadzam wszystkie pozostałe – odpowiedział Marko. – Jest to miasto złożone z samych wyjątków, niemożliwości, sprzeczności, dysproporcji, nonsensów. Jeżeli takie miasto jest najbardziej nieprawdopodobne, przy zmniejszaniu liczby elementów nienormalnych zwiększa się prawdopodobieństwo, że miasto rzeczywiście istnieje. Wystarczy zatem, abym odejmował wyjątki od mojego modelu, i w jakimkolwiek porządku będę postępował, natrafię zawsze na jedno z miast, które jednak istnieją, co prawda również w drodze wyjątku. Jednakże nie mogę posunąć się w tej operacji poza pewną granicę: uzyskałbym miasta zbyt prawdopodobne, żeby były prawdziwe.

Z wyżyn pałacowej balustrady Wielki Chan przygląda się wzrastaniu imperium. Najpierw poszerzała się linia granic, obejmując podbite tereny, ale kroczące naprzód pułki napotykały półpustynne okolice, mizerne skupiska chałup, mokradła, na których źle wschodził ryż, wynędzniałą ludność, wyschnięte rzeki, szuwary. „Czas, aby moje cesarstwo, już nazbyt rozrosłe na zewnątrz – myślał Chan – zaczęło wzrastać od wewnątrz”, i śnił o gajach dojrzałych granatów rozsadzających łupinę, o mięsie zebu rumienionym na rożnach i ociekającym tłuszczem, o żyłach rud, które wytryskują lawinami połyskliwych grudek.

Teraz liczne pory urodzaju wypełniły spichrze po brzegi. Wezbrane rzeki poniosły lasy belek, na których oprą się brązowe dachy świątyń i pałaców. Karawany niewolników przeniosły przez cały kontynent góry serpentynu. Wielki Chan kontempluje imperium pokryte miastami, których brzemień ciąży ziemi i ludziom, pękające od bogactw i zatorów, przeładowane ornamentami i stanowiskami, skomplikowane przez mechanizmy i hierarchie, ociężałe, napięte, obrzmiałe.

„Cesarstwo przygniata jego własny ciężar”, myśli Kubłaj, a w jego snach ukazują się teraz miasta lekkie jak latawce, miasta ażurowe jak koronki, miasta przezroczyste jak moskitiery, miasta-unerwienie liścia, miasta-linie dłoni, miasta z filigranu, których nieprzejrzystą, złudną grubość można przejrzeć na wylot.

– Opowiem ci, co przysniło mi się tej nocy – mówi do Marka.

– Pośrodku ziemi płaskiej i żółtej, obsianej meteorytami i głazami narzutowymi, widziałem wznoszące się w oddali wieże miasta o smukłych iglicach zbudowanych tak, aby Księżyc w swojej podróży mógł przysiąść to na jednej, to na drugiej lub kołysać się, uwieszony na linach żurawi.

A na to Polo:

– Miasto, o którym śniłeś, to Lalagia. Jego mieszkańcy przygotowali te zachęty do odpoczynku na nocnym niebie, aby Księżyc udzielił wszystkiemu w mieście daru rośnięcia i odrastania bez końca.

– Jest coś, o czym nie wiesz – dodał Chan. – Księżyc, z wdzięczności, obdarzył miasto Lalagię jeszcze rzadszym przywilejem – wzrastania w lekkość.

Zwiewne miasta. 5.

Dobrze, jeśli zechcecie mi uwierzyć. Powiem wam teraz, jak zbudowana jest Oktawia, miasto-pajęczyna. Między dwiema stromymi górami jest przepaść: miasto wznosi się nad próżnią, przymocowane do wierzchołków za pomocą lin i łańcuchów, i kładek. Chodzi się po drewnianych podkładach, uważając, by nie stąpnąć nogą w przerwę, lub czepia się konopnych pętli. Poniżej pustka rozciąga się na setki metrów: czasem przepływają chmury; można dostrzec w dole dno wąwozu.

To podstawa miasta: sieć, która służy jako przejście i oparcie. Cała reszta, zamiast wznosić się nad nią, zwisa w dole: drabinki sznurowe, hamaki, domy w kształcie worka, wieszaki na ubrania, balkony jak łódki, bukłaki z wodą, palniki gazowe, różna, kosze zawieszane na sznurach, wyciągi, prysznice, trapezy i kółka do ćwiczeń, kolejki linowe, żyrandole, doniczki z roślinami o zwisających pędach.

Zawieszane nad przepaścią, życie mieszkańców Oktawii jest mniej niepewne niż w innych miastach. Wiedzą, że sieć ma ograniczoną wytrzymałość.

Miasta i wymiana. 4.

W Hersylii, dla ustalenia stosunków, które rządzą życiem miasta, mieszkańcy rozciągają nici między narożnikami domów, nici białe lub czarne, lub szare, lub biało-czarne, w zależności od tego, czy oznaczają związki pokrewieństwa, wymiany, władzy, przedstawicielstwa. Kiedy nici jest już tyle, że nie można się pośród nich poruszać, mieszkańcy odchodzą: rozmontowuje się domy; pozostają tylko nici i podpory nici.

Ze stoku góry uchodźcy z Hersylii, obozując ze sprzętami domowymi, spoglądają na płataninę nici i pali, która wznosi się pośród równiny. Jest to wciąż jeszcze miasto Hersylia, a oni są niczym.

Odbudowują gdzie indziej Hersylię. Tkają z nici podobną figurę, którą pragnęliby uczynić bardziej złożoną, a zarazem regularniejszą od poprzedniej. Potem porzucają ją i przenoszą się wraz ze swymi domostwami jeszcze dalej.

I tak, podróżując po terytorium Hersylii, napotykasz ruiny porzuconych miast, bez murów, które są nietrwałe, bez kości zmarłych, które toczy wiatr: pajęczyny powikłanych stosunków, szukające formy.

Miasta i oczy. 3.

Po sześciu dniach marszu przez zarośla podróżny, który zmierza do Baucydy, nie dostrzega miasta, a jest już na miejscu. Miasto podtrzymują cienkie żerdzie, które wznoszą się z ziemi w znacznych odstępach i gubią ponad chmurami. Wchodzi się tam po drabinkach. Na ziemi mieszkańcy pokazują się z rzadka: w górze mają wszystko, czego im potrzeba, i wolą nie schodzić. Żadna część miasta nie dotyka gruntu, z wyjątkiem podpierających je długich bocianich nóg i ażurowego, kanciastego cienia, który w słoneczne dni rysuje się na listowiu.

Istnieją trzy hipotezy na temat mieszkańców Baucydy: że nienawidzą Ziemi; że szanują ją tak dalece, iż unikają każdego z nią zetknięcia; że kochają ją taką, jaka była przed ich nastaniem, i z wymierzonymi w dół lornetami i teleskopami poddają ją bezustannie przeglądowi, liść po liściu, kamień po kamieniu, mrówka po mrówce, kontemplując, zafascynowani, własną nieobecność.

Miasta i nazwa. 2.

Dwa rodzaje bóstw chronią miasto Leandrę. Jedne i drugie są tak małe, że ich nie widać, a jest ich tak wiele, że nie sposób zliczyć. Jedne przebywają u drzwi domów, od wewnątrz, koło wieszaków i stojaków na parasole; przy przeprowadzkach idą w ślad za rodziną i wprowadzają się do nowych mieszkań z chwilą przekazania kluczy. Drugie przebywają w kuchni, kryją się najczęściej pod garnkami lub w okapie komina, albo w schowku na miotły: są częścią domu i kiedy zamieszkała w nim rodzina odchodzi, pozostają z nowymi lokatorami; może były już tam, kiedy jeszcze nie było domu, wśród chwastów działki budowlanej, ukryte w zardzewiałej puszcze; jeśli burzy się dom, a w jego miejsce powstaje blok na pięćdziesiąt rodzin, odnajdzie się je, rozmnożone, w kuchni każdego z mieszkań. Dla odróżnienia pierwsze będziemy nazywać Penatami, zaś drugie – Larami.

Nie jest powiedziane, że w domu Lary trzymają się zawsze z Larami, a Penaty z Penatami: bywają u siebie, spacerują razem po gipsowych gzymsach, po rurach kaloryferów, komentują wydarzenia w rodzinie, łatwo dochodzi między nimi do kłótni, ale równie dobrze mogą latami żyć w zgodzie; kiedy popatrzeć na nie razem, nie sposób odróżnić, które z nich to Lary, a które – Penaty. Lary widziały, jak przez ich mury przewijały się Penaty najróżniejszego pochodzenia i obyczajów; Penatom przychodzi rozpychać się łokciami, szukając sobie miejsca wśród przepełnionych poczuciem własnej godności Larów ze świętych, podupadłych pałaców lub z drażliwymi i nieufnymi Larami blaszanych ruder.

Prawdziwa istota Leandry jest przedmiotem niekończących się dyskusji. Penaty uważają się za duszę miasta, nawet jeśli przybyły do niego przed rokiem, i sądzą, że wynosząc się, zabierają ze sobą Leandrę. Lary uważają Penaty za chwilowych, uciążliwych, natrętnych gości; prawdziwa jest ich Leandra, nadająca kształt wszystkiemu, co zawiera, Leandra, która była tu przed przybyciem tych wszystkich intruzów i pozostanie po ich odejściu.

Łączy je jedno: znajdują zawsze coś do skrytykowania we wszystkim, co dzieje się w rodzinie czy w mieście; Penaty wywlekają przy tym starców, pradziadków, cioteczne babki, wymarłe rodziny; Lary – środowisko takie, jakim było, nim je zniszczono. Ale nie jest powiedziane, że żyją samymi wspomnieniami: snują plany kariery, jaką zrobią dzieci, gdy dorosną (Penaty), czy roztrząsają, czym mógłby się stać dany dom czy dzielnica (Lary), gdyby trafiły w dobre ręce. Nastawiając ucha, zwłaszcza nocą, w domach Leandry usłyszysz, jak szepczą między sobą pospieszonymi głosikami, uciszają się nawzajem, wymieniają kpiny, parsknięcia, ironiczne śmieszki.

Miasta i umarli. 1.

W Melanii, wychodząc na rynek, za każdym razem trafia się w sam środek dialogu: żołnierz-samochwał i pieczeniarsz wynurzają się z bramy i spotykają młodego rozrzutnika i nierządnicę; lub skąpy ojciec, na progu, udziela ostatnich napomnień zakochanej córce i przerywa mu głupi sługa, który udaje się do rajfurki, aby wręczyć jej bilecik. Powracasz do Melanii po wielu latach i natrafiasz na wciąż trwający ten sam dialog; przez ten czas zmarli pieczeniarsz, rajfurka, skąpy ojciec, ale ich miejsce zajęli żołnierz-samochwał, zakochana córka, głupi sługa, zastąpieni z kolei przez obłudnika, powiernicę, astrologa.

Ludność Melanii odnawia się: rozmówcy umierają jeden po drugim, a w tym czasie rodzą się ci, którym przyjdzie zająć miejsce w dialogu, w tej czy w innej roli. Kiedy ktoś zmienia rolę lub usuwa się na zawsze albo pojawia się po raz pierwszy, zmiany następują łańcuchowo, aż wszystkie role zostaną na nowo obsadzone; ale w tym czasie rozszluszczony starzec nadal odpowiada dowcipnej subretce, lichwiarz nie przestaje ścigać wydziedziczonego młodzieńca, piastunka – pocieszać pasierbicy, nawet jeśli nikt z nich nie zachował oczu ani głosu, jakie miał w poprzedniej scenie.

Zdarza się czasem, że ten sam uczestnik dialogu odgrywa równocześnie dwie lub więcej ról: tyrana, dobroczyńcy, posłańca; lub że jedna rola, podwojona, powielona, przypada setkom, tysiącom mieszkańców Melanii: trzy tysiące obłudników, trzydzieści tysięcy wydrwigroszy, sto tysięcy synów królewskich, popadłych w niedolę, którzy czekają na rozpoznanie.

Z upływem czasu także i role nie są już te same co niegdyś: bez wątpienia akcja, którą posuwają naprzód za pomocą intryg i perypetii, prowadzi ku jakiemuś końcowemu rozwiązaniu i zbliża się do niego nawet wówczas, gdy kłębek zdaje się bardziej gmatwać, a przeszkody wzrastają. Kto wygląda na rynek w odstępach czasu, słyszy, że dialog zmienia się z aktu na akt, nawet jeśli życie mieszkańców Melanii jest zbyt krótkie, aby mogli to spostrzec.

Marko Polo opisuje most, kamień po kamieniu.

– Ale który kamień wspiera most? – pyta Kubłaj-chan.

– Most nie wspiera się na tym czy innym kamieniu – odpowiada

Marko – lecz na utworzonej przez nie linii łuku.

Kubłaj-chan trwa w milczeniu, medytując. Potem dorzuca:

– Czemu mówisz mi o kamieniach? Obchodzi mnie tylko łuk.

Polo odpowiada:

– Bez kamieni nie ma łuku.

– Czy zdarzyło ci się widzieć podobne miasto? – pytał Kubłaj Marka Polo, wysuwając zdobną pierścieniami dłoń spod jedwabnego baldachimu cesarskiej galery, by wskazać mosty wyginające się nad kanałami, pałace książęce o zanurzonych w wodzie marmurowych progach, krzątanię lekkich stateczków, które krążą zygzakiem, popychane długimi wiosłami, krypy, z których na placach targowych wyladowuje się kosze jarzyn, balkony, altany, kopuły, dzwonnice, ogrody na wyspach, zieleniejące w szarości laguny.

Cesarz, w towarzystwie swego cudzoziemskiego dostojnika, zwiedzał Kinsaj, dawną stolicę obalonych dynastii, ostatnią perłę osadzoną w koronie Wielkiego Chana.

– Nie, najjaśniejszy panie – odrzekł Marko. – Nigdy nie wyobrażałem sobie, że może istnieć podobne miasto.

Cesarz próbował zajrzeć mu w oczy. Cudzoziemiec spuścił wzrok. Kubłaj nie odezwał się już do końca dnia.

Po zachodzie słońca na tarasach pałacu Marko Polo przedstawiał władcy wyniki swoich misji. Wielki Chan na zakończenie wieczoru zwykł rozsmakowywać się, z przymkniętymi oczyma, w tych opowiadaniach, aż do chwili kiedy jego pierwsze ziewnięcie dawało znak orszakowi paziów do zapalenia pochodni, aby poprowadzić władcę do Pawilonu Dostojnego Snu. Ale tym razem Kubłaj nie wydawał się skłonny ulec zmęczeniu.

– Opowiedz mi jeszcze o jakimś mieście – nalegał.

– ... Opuściwszy ten kraj, jedzie się przez trzy dni na południowy wschód... – podejmował opowieść Marko i dalej wymieniał nazwy i obyczaje, i towary rozlicznych ziem. Można powiedzieć, że jego repertuar był niewyczerpany, ale tym razem przyszło mu się poddać. Świtało, kiedy rzekł:

– Panie, mówiłem ci już o wszystkich znanych mi miastach.

– Pozostało jedno, o którym nigdy nie mówiś.

Marko Polo pochylił głowę.

– Wenecja – powiedział Chan.

Marko uśmiechnął się:

– A jak sądzisz, o czym ci dotąd mówiłem ?

Cesarzowi nie drgnęła powieka:

– A przecież jej imienia nigdy z twoich ust nie słyszałem.

A na to Polo:

– Za każdym razem, kiedy opisuję jakieś miasto, mówię coś o Wenecji.

– Kiedy pytam cię o inne miasta, chcę, żebyś mówił mi o nich. A o Wenecji, kiedy pytam cię o Wenecję.

– Żeby odróżnić przymioty innych miast, muszę wychodzić od pierwszego, które pozostaje w domyśle. Dla mnie jest nim Wenecja.

– A zatem powinieneś zaczynać każdą relację z twoich podróży od punktu wyjścia, opisując Wenecję taką, jaka jest, ze wszystkim, bez pomijania niczego, co z niej pamiętasz.

Wody jeziora leciutko się marszczyły; miedziane odbicie dawnego pałacu dynastii Sung rozpryskiwało się na połyskliwe refleksy jak pływające liście.

– Obrazy pamięci zacierają się, skoro tylko zastygną w słowa – powiedział Polo. – Może boję się, że stracę od razu całą Wenecję, jeśli będę o niej mówił. A może, mówiąc o innych miastach, już ją po trochu utraciłem.

Miasta i wymiana. 5.

W Smeraldinie, wodnym mieście, sieć kanałów i sieć ulic nakładają się na siebie i przecinają. Udając się z miejsca na miejsce, masz zawsze wybór między trasą lądową a łodzią: a ponieważ w Smeraldinie najkrótsza linia łącząca dwa punkty nie jest prosta, lecz biegnie zygzakiem, który rozgałęzia się na kręte warianty, przed każdym przechodniem otwierają się nie dwie, lecz liczne drogi, a jeszcze liczniejsze są one dla tego, kto przeplata przejazdy łodzią przesiadkami na lądzie.

Tym sposobem mieszkańcy Smeraldiny nie doznają nudy przemierzania codziennie tych samych ulic. I to jeszcze nie wszystko: sieć przejść nie jest ułożona w jednej warstwie, lecz podąża w górę i w dół, wzdłuż schodków, galeryjek, wygiętych mostów, wiszących ulic. Zestawiając odcinki różnych dróg, biegnących po ziemi lub nad ziemią, każdy z mieszkańców oddaje się codziennie rozrywce przemierzania nowej trasy, żeby udać się w te same miejsca. W Smeraldinie najbardziej nawet spokojne i uregulowane egzystencje upływają bez powtórzeń.

Na największe utrudnienia narażone są, jak wszędzie, żywoty pędzone skrycie i pełne przygód. Koty Smeraldiny, złodzieje, potajemni kochankowie, poruszają się wyżej położonymi i nieciągłymi drogami, przeskakując z dachu na dach, spuszczać się z altany na ganek, okrążając rynny krokiem linoskokczków. Niżej, w ciemności kanałów, biegają szczury, następując sobie na ogony, wraz ze spiskowcami i przemytnikami: wzierają z otworów ściekowych i rynsztoków, śmigają w nieosłoniętych przejściach i zaułkach, przenoszą od kryjówki do kryjówki skórki sera, zakazane towary, beczułki z prochem, przenikają przez spoistą masę miasta, poprzecinaną pajęczyną podziemnych chodników.

Na mapie Smeraldiny należałoby oznaczyć różnokolorowym tuszem wszystkie te trasy, stałe i płynne, jawne i tajemne. Trudniej utrwalić na mapie drogi jaskółek, które przecinają powietrze nad dachami, opadają z nieruchomymi skrzydłami po niewidzialnych parabolach, zbaczają, aby połączyć komara, wlatują spiralnie wokół gotyckiej wieżyczki, górują nad wszystkimi punktami miasta z każdego punktu swych powietrznych ścieżek.

Miasta i oczy. 4.

Przybywszy do Fillidy, z upodobaniem przyglądasz się, ile najprzeróżniejszych mostów łączy brzegi kanałów: mosty wsparte na filarach, ułożone na łodziach, mosty o ażurowych balustradach, wygięte łukowato, przykryte daszkiem, wiszące; jak różnorodne okna wychodzą na ulicę: okna dwudzielne, mauretańskie, lancetowate, ostrolukowe, zwieńczone lunetami lub rozetami; ile rodzajów nawierzchni pokrywa ziemię: z kamyków, płyt, żwiru, kafelków białych i niebieskich. W każdym punkcie miasto gotuje niespodzianki dla oczu: krzak kaparów, który wychyla się z murów fortecy, posągi trzech królowych na konsoli, cebulasta kopuła z trzema mniejszymi cebulkami nawleczonymi na iglicę. „Szczęśliwy ten, kto codziennie ma przed oczami Fillidę i bez końca ogląda to, co się w niej mieści!” – wykrzykujesz z żalem, że musisz opuścić miasto, musnąwszy je zaledwie spojrzeniem.

I odwrotnie: zdarzy ci się zatrzymać w Fillidzie i spędzić tam resztę dni. Miasto szybko gaśnie w twoich oczach, blakną rozety, posągi na konsolach, kopuły. Jak wszyscy mieszkańcy Fillidy, chodzisz zygzakami ulic, odróżniasz strefy słoneczne i strefy cienia, tu drzwi, tam schody, ławka, gdzie możesz oprzeć kosz, ściek, o który potyka się stopa, jeśli go nie zauważysz. Cała reszta miasta jest niewidzialna. Fillida – to przestrzeń, na której rysują się trasy między zawieszonymi w próżni punktami, najkrótsza droga, żeby dojść do zasłony nad straganem handlarza, omijając okienko wierzyciela. Twoje kroki podążają za czymś, co znajduje się nie przed oczami, lecz w oczach, pogrzebane i zatarte: jeśli z dwóch podcieni jedno wciąż wydaje ci się weselsze od drugich – to dlatego, że tamtędy właśnie, trzydzieści lat temu, przechodziła dziewczyna z szerokimi, haftowanymi rękawami, albo dlatego, że o pewnej porze pada tam światło, jak na owe podcienie, już nie pamiętasz gdzie.

Miliony oczu podnoszą się na okna mosty kapary i jakby przebiegały po niezapisanej kartce. Wiele jest miast, które jak Fillida wymykają się spojrzeniu, o ile ich nie zaskoczysz.

Miasta i nazwa. 3.

Przez długi czas Pyrra była dla mnie warownym miastem na zboczach zatoki, z wieżami i wysokimi oknami, zamknięta jak kielich, z placem pośrodku głębokim jak studnia i ze studnią pośrodku. Nigdy przedtem nie widziałem Pyrry. Była jednym z wielu miast, gdzie nigdy nie dotarłem, a które wyobrażałem sobie jedynie dzięki ich nazwie: Eufrazja, Odylia, Margara, Getulia. Pyrra miała wśród nich swoje miejsce, odmienna od każdego z nich, jak każde – niepowtarzalna dla oczu umysłu.

Przyszedł dzień, kiedy podróże przywiodły mnie do Pyrry. Skoro tylko tam stanąłem, poszło w zapomnienie wszystko, co sobie wyobraziłem. Pyrra stała się tym, czym jest Pyrra, a mnie wydawało się, iż zawsze wiedziałem, że z miasta nie widać morza, gdyż zasłania je wydma niskiego i sfalowanego brzegu; że długie ulice biegną prosto; że domy są niewysokie, zgrupowane w odstępach, oddzielone od siebie placami składów drewna i tartakami, że wiatr obraca blaszane kurki pomp hydraulicznych. Odtąd nazwa Pyrra przywołuje mi na myśl tamten widok, tamto światło, tamten gwar, tamto powietrze, w którym unosi się żółtawy kurz; jest oczywiste, że oznacza właśnie to i nic innego oznaczać nie mogła.

W moim umyśle mieszczą się nadal liczne miasta, których nie widziałem ani nie zobaczę, nazwy, które niosą ze sobą figurę lub fragment czy odbłask wyimaginowanej figury: Getulia, Odylia, Eufrazja, Margara. I nadal jest tam także wysokie miasto nad zatoką, ale nie mogę go nazwać po imieniu ani przypomnieć sobie, jak mogłem nadać mu nazwę, która oznacza coś całkiem innego.

Miasta i umarli. 2.

Nigdy przedtem w moich podróżach nie zapuściłem się aż do Adelmy. Zmierzchało, gdy tam przybiłem. Na nabrzeżu marynarz, który schwycił w locie cumę i przywiązał ją do pachołka, podobny był do mojego zmarłego już kolegi z wojska. Była to pora hurtowej sprzedaży na rybnym targu. Jakiś starzec ładował na wózek kosz jeży morskich; wydało mi się, że go poznaję; kiedy się odwróciłem, zniknął w zaułku, ale już zrozumiałem, że przypominał rybaka, który był starcem za czasów mojego dzieciństwa, a zatem nie mogło go już być wśród żyjących. Poruszył mnie widok człowieka chorego na febrę, który leżał skulony na ziemi z kocem naciągniętym na głowę: mój ojciec na parę dni przed śmiercią miał żółte oczy i najeżoną brodę, całkiem jak on. Odwróciłem wzrok; nie śmiałem już spojrzeć nikomu w twarz.

Pomyślałem: „Jeżeli Adelma to miasto, które widzę we śnie, gdzie spotyka się tylko umarłych, sen budzi we mnie strach. Jeśli Adelma jest prawdziwym miastem, zamieszkanym przez żywych, wystarczy dłużej im się przyglądać, aby podobieństwo się rozwiało i ukazały się obce twarze, przynoszące łęk. W obu wypadkach lepiej, żebym nie przypatrywał im się zbytnio”.

Zieleniarka ważyła kapustę i kładła ją do koszyka zawieszzonego na sznurku, który spuszczała z balkonu dziewczyna. Przypominała do złudzenia inną dziewczynę z mojej wsi, która z miłości zwariowała i się zabiła. Zieleniarka podniosła twarz – to była moja babka.

Pomyślałem: „Przychodzi w życiu taka chwila, kiedy wśród znajomych ludzi więcej jest zmarłych niż żywych. I umysł nie chce już przyjmować innych fizjonomii, ich nowego wyrazu: na wszystkich nowo spotkanych twarzach odciska dawne formy, dla każdej wynajduje najodpowiedniejszą maskę”.

Tragarze, pochyleni pod ciężarem gąsiorów i baryłek, wchodzili rzędem po schodach; twarze mieli zakryte kapturami z worka; „Teraz się wyprostują i ich rozpoznam” – myślałem z niecierpliwością i obawą. Ale nie odrywałem od nich oczu; skoro tylko odwracałem wzrok na tłum zapelniający uliczki, osaczały mnie wynurzające się z oddali nieoczekiwane twarze, które wpatrywały się we mnie, jakby chciały, bym je rozpoznał, jakby chciały mnie rozpoznać, jakby mnie rozpoznawały. Może i ja przypominałem każdemu z tych ludzi kogoś, kto nie żył. Dopiero co przybyłem do Adelmy, a już byłem jednym z nich, przeszedłem na ich stronę, wmieszany w to falowanie oczu, zmarszczek, grymasów.

Pomyślałem: „Może Adelma jest miastem, dokąd przybywa się w chwili śmierci i gdzie każdy odnajduje znane mu osoby. To znak, że i ja umarłem”. Pomyślałem także: „To znak, że zaświaty nie są szczęśliwe”.

Miasta i niebo. 1.

W Eudoksji, biegnącej w górę i w dół krętymi uliczkami, schodami, ślepyimi zaułkami, ruderami, przechowuje się dywan, na którym możesz oglądać prawdziwy kształt miasta. Na pierwszy rzut oka nic nie wydaje się mniej podobne do Eudoksji niż deseń dywanu, uporządkowany w symetryczne figury o motywach powtarzających się wzdłuż linii prostych i kolistych, przetykany pasmami o olśniewających barwach, których przeplatające się osnowy możesz prześledzić na całej długości wątku. Ale jeśli przyjrzyś mu się przez chwilę uważniej, przekonasz się, że każdemu punktowi dywanu odpowiada jakiś punkt miasta i że wszystko, co zawiera miasto, jest uwzględnione w deseniu, rozłożone według rzeczywistych stosunków, które wymykają się twojemu spojrzeniu, rozpraszanemu przez ścisk bieganinę gwar. Ułamkowa perspektywa, jaką potrafisz uchwycić, ukazuje cały zamęt Eudoksji, ryki mułów, plamy sadzy, odór ryb; ale dywan dowodzi, że istnieje miejsce, skąd miasto ukazuje swoje prawdziwe proporcje, schemat geometryczny, zawarty w każdym jego najdrobniejszym szczególe.

Łatwo jest zgubić się w Eudoksji: ale kiedy przyjrzyś się w skupieniu dywanowi, rozpoznasz szukaną ulicę w postaci nitki indygo albo karmazynowej, albo amarantowej, a ta, po długim krążeniu, wprowadza cię do środka purpurowego ogrodzenia, które jest twoją rzeczywistą metą. Każdy mieszkaniec Eudoksji porównuje z nieruchomym porządkiem dywanu własny obraz miasta, własny lęk, i każdy może odnaleźć w ukryciu arabesek opowieść swojego życia, odmiany losu.

Spytano wyrocznie o tajemniczy związek między dwoma przedmiotami tak odmiennymi jak dywan i miasto. Jeden z przedmiotów – brzmiała odpowiedź – ma kształt, jaki bogowie nadali gwiaździstemu niebu i orbitom, po których krążą światy; drugi jest jego przybliżonym odbiciem, jak każde dzieło ludzi.

Od dawna już wróżbici żywili pewność, że harmonijny wzór dywanu jest dziełem bogów; taką interpretację wyroczni uznano za bezsporną. Ale równie dobrze możesz wysnuć stąd odwrotny wniosek: że prawdziwą mapą wszechświata jest miasto Eudoksja w swojej rzeczywistej postaci, bezkształtnie rozlewająca się plama, z krzywymi ulicami, z domami, które walą się jeden na drugi wśród kłębow kurzu, z pożarami, z wrzaskami w ciemności.

– ...Zatem twoja podróż naprawdę odbywa się w pamięci! – Wielki Chan, śledząc opowieść z napiętą uwagą, podrywał się na hamaku, ilekroć dosłyszał w relacji Marka westchliwą nutę. – Udałeś się tak daleko, żeby zbyć ładunek nostalgii! – wykrzykiwał, albo: – Ze swych wypraw powracasz z ładownią wypełnioną żałami! – i dorzucał z sarkazmem: – Prawdę mówiąc, nędzne to zakupy, jak na kupca Rzeczypospolitej Weneckiej!

Do tego punktu zmierzały wszystkie pytania Kubłaja o przeszłość i przyszłość, już od godziny prowadził zabawę kota z myszą, aż na koniec przypierał Marka do muru, naskakując nań, przygniatając mu pierś kolanem, łapiąc go za brodę:

– To chciałem od ciebie usłyszeć: przyznaj się, co przemycasz: stany ducha, stany łaski, treny!

Zdania i czyny być może tylko pomyślane, kiedy obydwaj, bez ruchu i w milczeniu, spoglądali na dym wznoszący się powoli z ich fajek. Obłok to rozwiewał się pod podmuchem wiatru, to pozostawał zawieszony w powietrzu; i w tym obłoku była odpowiedź. Kiedy powiew unosił dym, Marko myślał o oparach, które zasnuwają tafle morza i łańcuchy gór, a gdy się rozpraszają, pozostawiają suche i przejrzyste powietrze, odsłaniając dalekie miasta. Jego wzrok chciał dotrzeć poza tę osłonę lotnej wilgoci: z oddalenia łatwiej rozróżnić kształt rzeczy.

Albo obłok, ledwie wypuszczony z warg, zatrzymywał się, gęsty i powolny, i przywoływał inną wizję: wyziewy kładą się na dachach metropolii, płaszcz miazmatów ciąży nad asfaltowymi ulicami, nie rozwiewa się ciemny dym. Nie ulotne mgły pamięci, nie suchą przejrzystość, ale spaleniznę wypalonych egzystencji, która tworzy skorupę na miastach, gąbkę nasyconą życiową materią, zator przeszłości terażniejszości przyszłości, który wstrzymuje życie skamieniałe w złudzeniu ruchu – oto co znajdowałeś u kresu podróży.

VII

KUBŁAJ: *Nie wiem, kiedy zdążyłeś odwiedzić te wszystkie kraje, które mi opisujesz. Mnie się wydaje, że nigdy nie ruszyłeś się na krok z tego ogrodu.*

POLO: *Wszystko, co robię i widzę, nabiera znaczenia w przestrzeni umysłu, gdzie panuje ten sam co tu spokój, ten sam półmrok, ta sama cisza, w którą wplata się szelest liści. W chwili kiedy pogrążam się w rozmyślaniach, odnajduję się zawsze w tym ogrodzie, o tej wieczornej godzinie, przed twym dostojnym obliczem, chociaż nadal, bez chwili wytchnienia, podążam w górę rzeki zielonej od krokodyli lub liczę spadające do ładowni beczki solonych ryb.*

KUBŁAJ: *Ja też nie mam pewności, że znajduję się tutaj, że przechadzam się między porfirowymi fontannami, nadsłuchując echa rozbryzgów, a nie cwałuję, oblepiony potem i krwią, na czele moich wojsk, podbijając kraje, które przyjdzie ci opisywać, lub nie odrąbuję palców napastnikom, którzy wdrapują się na mury oblężonej fortecy.*

POLO: *Może ten ogród istnieje tylko w cieniu naszych spuszczonej powiek, a nigdy nie przestaliśmy: ty – wzbijać kurzu na polach bitewnych, ja – kupczyć workami pieprzu na dalekich targowiskach, ale za każdym razem, kiedy wśród hałasu i ścisku przymykamy oczy, dane nam jest chronić się tutaj, gdzie odziani w jedwabne kimona rozważamy to, co widzimy i przeżywamy, robimy podsumowania, kontemplujemy z oddalenia.*

KUBŁAJ: *Może nasz dialog toczy się między dwoma żebrakami, przezwanymi Kubłaj-chan i Marko Polo, którzy grzebią w wysypisku śmieci, gromadząc zardzewiałe żelastwo, strzępki tkanin, zużyte papiery i upici paroma łykami podłego wina, widzą wokół siebie blask wszystkich skarbów Wschodu.*

POLO: *Może ze świata pozostał tylko opuszczony teren pokryty śmietniskami i wiszący ogród pałacu Wielkiego Chana. Oddzielają je nasze powieki, ale nie wiadomo, co jest pod nimi, a co przed nimi.*

Miasta i oczy. 5.

Przebrnąwszy przez rzekę i przeprawiwszy się przez przełęcz, człowiek staje niespodzianie przed miastem Morianą o alabastrowych bramach przejrzystych w blasku słońca, o koralowych kolumnach podtrzymujących frontony wysadzone serpentynem, o willach całych ze szkła, jak akwaria, gdzie pod żyrandolami w kształcie meduz pływają cienie tancerek o srebrnych łuskach. O ile nie jest to jego pierwsza podróż, człowiek już wie, że takie miasta mają swoją odwrotną stronę: wystarczy zatoczyć półkole i otworzy się widok na ukryte oblicze Moriany, obszar zardzewiałej blachy, płótna workowego, najeżonych gwoździami desek, rur czarnych od sadzy, stosów puszek, ślepych ścian z wyblakłymi napisami, szkieletów krzeseł bez siedzeń, sznurów zdatnych tylko do powieszenia się na przegniłej belce.

Od jednej do drugiej części miasto zdaje się rozciągać, powielając swój zasób obrazów: zaś naprawdę nie ma grubości, jest tylko awersem i rewersem, jak kartka papieru, a figury, które widnieją po obu stronach, nie mogą się rozłączyć ani popatrzeć na siebie.

Miasta i nazwa. 4.

Sławetne miasto Klarysa ma burzliwą historię. Wielekroć upadało i ponownie rozkwiatało, uznając zawsze pierwszą Klarysę za niezrównany wzór wszelkiej wspaniałości, w porównaniu z którym obecny stan miasta z każdym obrotem gwiazd daje nieodmiennie powód do coraz to nowych westchnień.

W wiekach poniżenia miasto, spustoszone przez zarazy, skarłałe na skutek walenia się belek i gzymsów i osuwania gruntu, zapchane i zardzewiałe przez niedbalstwo lub niedostatek ludzi, którzy troszczyliby się o jego konserwację, zaludniało się powoli, w miarę jak z piwnic i nor wylęgały hordy niedobitków, którzy roili się jak szczury, pchani żądzą szperania i ogryzania albo też zbierania resztek i łatania, jak ptaki wijące gniazda. Czepiali się wszystkiego, co można było zabrać z dawnego miejsca i umieścić w innym, żeby służyło do innych celów: zasłony z brokatu kończyły jako prześcieradła; w marmurowych urnach na prochy sadzono bazylię; kraty z kutego żelaza, wyrwane z okien gyneceów, służyły do pieczenia kocięgo mięsa na ogniu z intarsjowanych drewn. Z rozproszonych kawałków niezdatnej do użytku Klarysy formowała się Klarysa, która usiłowała przetrwać, cała w ruderach i lepiankach, cuchnących rynsztokach, kłatkach z królikami. A jednak z dawnej świetności Klarysy prawie nic nie zginęło, wszystko w niej pozostało, tylko ułożone w porządku odmiennym, ale nie mniej niż przedtem dostosowanym do potrzeb mieszkańców.

Po czasach niedostatku następowały weselsze epoki: Klarysa przepyszny motyl wykluwała się z Klarysy nędznej poczwarki; nowa obfitość przepęniała miasto nowymi materiałami budynkami przedmiotami; napływali nowi ludzie z zewnątrz; nic i nikt nie miał już nic wspólnego z poprzednią Klarysą czy Klarysami; i im bardziej tryumfalnie nowe miasto rozsiadało się w miejscu i nazwie pierwszej Klarysy, tym jaśniej zdawało sobie sprawę, że się od niej oddała, niszcząc ją nie mniej pospiesznie niż szczury i pleśń: pomimo dumy z nowego przepychu w głębi serca czuło się obce, nieestosowne, samozwańcze.

I wówczas na nowo przemieszczano okruchy pierwotnej świetności, które ocalały, przystosowując się do nędzniejszych potrzeb, chroniono je pod szklanymi kloszami, zamykano w gablotach, układano na aksamitnych poduszkach, już nie dlatego, żeby mogły jeszcze do czegoś służyć, ale pragnąc za ich pośrednictwem złożyć na powrót miasto, o którym nikt już nic nie wiedział.

W Klarysie następowały po sobie nowe zniszczenia, nowe okresy rozkwitu. Wiele razy zmieniała się ludność i obyczaje; pozostały nazwa, położenie i przedmioty najtrudniejsze do rozbicia. Każda nowa Klarysa, spoista jak żywe ciało ze swymi zapachami i oddechem, obnosi jak klejnot to, co zostało z dawnych Klarys, rozbitych i umarłych. Nie wiadomo, kiedy korynckie kapitele tkwiły na szczytach swych kolumn: pamięta się tylko, że jeden z nich, w kurniku, przez wiele lat podtrzymywał kosz, gdzie kury składały jajka, a stamtąd przeniesiono go do Muzeum Kapiteli i ustawiono w rzędzie obok innych eksponatów. Zagubił się porządek, w jakim następowały po sobie ery; wierzy się powszechnie, że istniała kiedyś pierwsza Klarysa, lecz brak na to dowodów; kapitele mogły stać w kurnikach, zanim znalazły się w świątyniach, marmurowe urny mogły być obsiane bazylią, zanim posiano w nich kości zmarłych. Na pewno wiadomo tylko tyle: pewna liczba przedmiotów przemieszcza się w określonej przestrzeni i bądź zalewa je mnogość nowych przedmiotów, bądź zużywają się i nie ma czym ich zastąpić; reguła polega na tym, aby mieszać je za każdym razem, a następnie starać się je ponownie złożyć. Możliwe, że Klarysa zawsze była tylko beładem pokruszonych, niedobranych, bezużytecznych rupieci.

Miasta i umarli. 3.

Nie ma drugiego miasta, które bardziej niż Eusapia byłoby skłonne korzystać z życia i unikać strapień. A żeby przeskok od życia do śmierci był mniej gwałtowny, mieszkańcy zbudowali wierną kopię swojego miasta pod ziemią. Trupy, zasuszone tak, że pozostaje z nich szkielet obciągnięty żółtą skórą, znosi się na dół, aby dalej wykonywały swe dawne zajęcia, spośród których daje się pierwszeństwo chwilom beztróski: większość zmarłych zasadza się wokół zastawionych stołów lub ustawia w tanecznych pozycjach albo w geście dęcia w trąby. Ale pod ziemią uprawia się także wszelkie dziedziny handlu i rzemiosła Eusapii żywych, a przynajmniej te z nich, którym żywi oddawali się raczej z zadowoleniem niż z przykrością: zegarmistrz, w otoczeniu wszystkich nieruchomych zegarów ze swego warsztatu, przykłada wyschłe na pergamin ucho do rozstrojonego mechanizmu; fryzjer namydla suchym pędzlem kość policzków aktora, podczas gdy ten powtarza rolę, śledząc tekst pustymi oczodołami; dziewczyna o roześmianej czaszce doi szkielet jałówki.

Rzecz jasna wielu żywych życzy sobie po śmierci losu odmiennego niż ten, jaki przypadł im w udziale: nekropolia jest zatłoczona łowcami lwów, mezzosopranami, bankierami, skrzypkami, księżnymi, utrzymankami, generałami, których jest więcej niż kiedykolwiek w mieście żywych.

Zadanie odprowadzania zmarłych na dół i umieszczania ich w miejscu, którego sobie życzyli, powierzono bractwu zakapturzonych. Nikt prócz nich nie ma dostępu do Eusapii umarłych i od nich pochodzi cała wiedza o podziemnym mieście.

Powiadają, że to samo bractwo istnieje wśród zmarłych i że zawsze służy im pomocą; zakapturzeni, po śmierci, nadal sprawować będą te same obowiązki również i w drugiej Eusapii; nie zaprzeczają domysłem, że niektórzy z nich już umarli, a nadal krążą w górę i w dół. Rzecz jasna kongregacja ta ma bardzo rozległą władzę nad Eusapią żywych.

Powiadają, że za każdym razem, kiedy schodzą do podziemnej Eusapii, zastają tam jakieś zmiany; umarli wprowadzają w swoim mieście innowacje; nieliczne, lecz zrodzone z rozważnego namysłu, nie z przelotnych kaprysów. Z roku na rok, powiadają, nie sposób rozpoznać Eusapii umarłych. A żywi, żeby nie pozostać w tyle, chcą też robić wszystko, co zakapturzeni opowiadają o nowinkach umarłych. W ten sposób Eusapia żywych zaczęła kopiować swoją podziemną kopię.

Powiadają, że nie zaczęło się to dopiero teraz: w rzeczywistości to zmarli zbudowali Eusapię w górze na podobieństwo swojego miasta. Powiadają, że w dwóch bliźniaczych miastach nie sposób już rozumieć, kto jest żywy, a kto umarły.

Miasta i niebo. 2.

W Bersabei przekazuje się wierzenie, że istnieje inna Bersabea, zawieszona na niebie, w której unoszą się cnoty i najwznioślejsze uczucia miasta, i że jeśli ziemska Bersabea będzie brała przykład z niebieskiej, złączy się z nią w jedno. Jej obraz rozpowszechniany przez tradycję – to miasto z litego złota, ze srebrnymi sworzniami i diamentowymi bramami, miasto-klejnot, całe w intarsjach i inkrustacjach, jakie najwyższe szczyty pracowitego kunsztu mogą zrodzić w połączeniu z najcenniejszym tworzywem. Zgodnie z tym wierzeniem, mieszkańcy Bersabei otaczają poważaniem wszystko, co przypomina im niebiańskie miasto: gromadzą szlachetne metale i rzadkie kamienie, rezygnują z przelotnych chwil zatracenia, doskonałą formy złożonej układności.

Wierzą także, owi mieszkańcy, że istnieje pod ziemią inna Bersabea, zbiornik wszystkich rzeczy niegodnych i pogardzanych, które im są niezbędne, starają się bezustannie zacierać w naziemnej Bersabei wszelki związek z jej niską bliźniaczką, wszelkie do niej podobieństwo. Wyobrażają sobie, że w miejsce dachów podziemne miasto ma przewrócone pojemniki na śmieci, z których sypią się lawiny skórek sera, zatłuszczonych papierów, ości, pomyj, resztek makaronu, starych bandaży. Albo wręcz, że jego tworzywo – to substancja gęsta jak smoła, ciemna i ciągliwa, która spada kloakami, przedłużając bieg ludzkich wnętrzności, od czarnej dziury do czarnej dziury, aż plaśnie o ostatnie podziemne dno i że z tej to właśnie zwiniętej w dole leniwej mazi wznoszą się, krąg po kręgu, budynki fekalnego miasta o spiralnych iglicach.

Wierzenia Bersabei są po części prawdziwe, a po części błędne. Prawdą jest, że miastu towarzyszą jego dwie projekcje, niebiańska i piekielna, lecz popełnia się błąd co do ich materii. Piekło, które legnie się w najgłębszych podziemiach Bersabei, to miasto zaprojektowane przez najznakomitszych architektów, zbudowane z materiałów najbardziej cenionych na rynku, sprawne w każdym mechanizmie i trybie i przekładni, przystrojone chwastami i frędzlami i falbanami rozwieszonymi na wszystkich rurach i korbowodach.

Zajęta gromadzeniem swych karatów doskonałości, Bersabea uważa za cnotę to, co jest już tylko posępną obsesją napełniania pustego naczynia samej siebie; nie wie, że jej jedyne chwile wspaniałomyślnego zatracenia to te, kiedy odrywa od siebie, odrzuca, rozsypuje. Również u zenitu Bersabei grawituje ciało niebieskie, które lśni całym dobrem miasta, zamkniętym w skarbcu rzeczy wyrzuconych: planeta powiewająca łupinami ziemniaków, dziurawymi parasolami, zużyтыми pończochami, iskrząca się odłamkami szkła, zgubionymi guzikami, papierkami od czekoladek, wybrukowana biletami tramwajowymi, obrzynkami paznokci i odcisków, skorupkami jaj. To jest niebiańskie miasto, a po jego niebie przebiegają komety o długich warkoczach, wyrzucone w przestrzeń w jedynym swobodnym i szczęśliwym akcie, do jakiego są zdolni mieszkańcy Bersabei, miasta, które tylko kiedy sra, nie jest skąpe wyrachowane interesowne.

Ciągle miasta. 1.

Miasto Leonia odnawia się każdego dnia: co rano ludność budzi się wśród świeżych prześcieradeł, myje mydełkami dopiero co wyłuskanyymi z opakowań, wkłada nowiuteńkie szlafroki, wyjmując z najnowocześniejszej lodówki nieotwarte jeszcze puszkę, słuchając z ostatniego modelu radia najświeższych bzdurow.

Na chodnikach, zawinięte w schludne plastikowe worki, resztki wczorajszej Leonii czekają na wóz śmieciarza. Nie tylko wyciśnięte tubki po paście, przepalone żarówki, gazety, pojemniki, opakowania, ale także grzejniki, encyklopedie, fortepiany, porcelanowe serwisy: zamożność Leonii mierzyć należy nie tyle przedmiotami, które się codziennie wyrabia sprzedaje kupuje, co tymi, które wyrzuca się codziennie, żeby uczynić miejsce dla nowych. Toteż zadajesz sobie pytanie, czy prawdziwą namiętnością Leonii jest rzeczywiście, jak twierdzą, radość z nowych i odmiennych przedmiotów czy raczej odrzucanie, wydalanie, obmywanie się z nawracającej nieczystości. Oczywiście śmieciarzy przyjmuje się jak aniołów, a ich zadanie usuwania pozostałości wczorajszej egzystencji jest otoczone milczącym szacunkiem, jako obrządek, który budzi nabożeństwo, lub może tylko dlatego, że nikt nie chce zaprzętać sobie głowy rzeczami raz wyrzuconymi.

Nikt nie zadaje sobie pytania, dokąd śmieciarze odwożą codziennie swój ładunek: oczywiście za miasto; ale co roku miasto się rozszerza i śmietniska muszą wycofywać się dalej; wzrastają rozmiary wyrzucanej masy i sterty wznoszą się, nawarstwiają, rozkładają po coraz szerszym obwodzie. Dodać trzeba, że im bardziej Leonia doskonali sztukę wytwarzania nowych materiałów, tym lepsza staje się substancja śmieci, lepiej opiera się upływowi czasu, niepogodzie, fermentacji i paleniu. Forteca niezniszczalnych resztek otacza Leonie, piętrzy się nad nią ze wszystkich stron jak zespół płaskowyży.

Skutek jest taki: im więcej Leonia wydała, tym więcej gromadzi; łuski jej przeszłości spajają się w pancerz nie do zdjęcia; odnawiając się codziennie, miasto zachowuje się całe w jedynym ostatecznym kształcie: wczorajszych śmieci, które piętrzą się na śmieciach z przedwczoraj i ze wszystkich jego dni, i lat, i dziesiątków lat.

Brudy Leonii po trochu zalałyby świat, gdyby na bezkresne śmietnisko nie napierały, spoza najdalszego grzbietu, śmieci innych miast, które również odpychają jak najdalej od siebie góry odpadków. Może cały świat, poza granicami Leonii, jest pokryty kraterami śmieci, z których każdy ma pośrodku metropolię w ciągłej erupcji. Granice między obcymi i wrogimi miastami to zapowietrzone bastiony, w których szczątki miast podpierają się wzajemnie, nakładają, mieszają.

Im wyżej się wznoszą, tym groźniejsze staje się niebezpieczeństwo lawin: wystarczy, aby jedna puszka, zużyta opona, nadłuczona flaszka stoczyła się na stronę Leonii, a grad butów nie do pary, kalendarzy z minionych lat, uschłych kwiatów pogrąży miasto w jego własnej, na próżno odpychanej przeszłości, przemieszanej z przeszłością sąsiednich miast, na koniec oczyszczonych: kataklizm zrówna z ziemią plugawy łańcuch górski, zatrze wszelki ślad metropolii zawsze przystrojonej w nowe szaty. Mieszkańcy sąsiednich miast uzbroili się już w walce drogowe, gotowi, aby równać grunt, zdobywać nowe obszary, powiększać się, oddalać nowe śmietniska.

POLO: *...Może tarasy tego ogrodu wychodzą tylko na jezioro naszego umysłu...*

KUBŁAJ: *...i jak daleko zawiodłyby nas mozolne wyprawy wodza i kupca, obydwaj przechowujemy w sobie ten cichy cień, tę urywaną rozmowę, ten zawsze niezmienny wieczór.*

POLO: *O ile nie przyjmujemy odwrotnego założenia: że ci, którzy uwijają się w obozach i portach, istnieją tylko dlatego, że myślimy o nich my dwaj, zamknięci wśród bambusowych żywopłotów, odwiecznie nieruchomi.*

KUBŁAJ: *Że nie istnieje trud, wrzaski, rany, odór, a tylko ten krzak azalii.*

POLO: *Że tragarze, kamieniarze, śmieciarze, kucharki patroszące kurczęta, praczki pochylone nad tarą, matki rodzin, które mieszając ryż, karmią piersią niemowlęta, istnieją tylko dlatego, że my o nich myślimy.*

KUBŁAJ: *Prawdę powiedziawszy, ja nigdy o nich nie myślę.*

POLO: *A zatem nie istnieją.*

KUBŁAJ: *Nie wydaje mi się, żeby takie założenie było dla nas dogodne. Bez nich nigdy nie moglibyśmy spędzać czasu, kołysząc się w kokonie naszych hamaków.*

POLO: A więc trzeba odrzucić to założenie. Zatem prawdziwa będzie druga: że istnieją oni a nie my.

KUBŁAJ: Dowiedliśmy, że gdybyśmy byli, toby nas nie było.

POLO: Toteż jesteśmy tutaj.

VIII

U stóp tronu Wielkiego Chana rozciągała się majolikowa posadzka. Marko Polo, niemy informator, wykładał tam próbki towarów przywiezionych z podróży do granic imperium: hełm, muszlę, orzech kokosowy, wachlarz. Układając w pewnym porządku przedmioty na białych i czarnych kafelkach i zaraz przemieszczając je przemyślanymi ruchami, wysłannik starał się przedstawić oczom monarchy koleje swojej podróży, stan imperium, przymioty dalekich stolic.

Kublaj był pilnym szachistą; śledząc poruszenia Marka, spostrzegął, że pewne przedmioty zakładają lub wykluczają sąsiedztwo innych przedmiotów i że przesuwają się po określonych liniach. Pomijając różnorodność kształtów, ustalał sposób, w jaki przedmioty układają się względem siebie na majolikowej posadzce. Pomyślał: „Skoro każde miasto jest jak partia szachów, w dniu, kiedy uda mi się poznać jego reguły, posiadę wreszcie moje cesarstwo, nawet jeśli nigdy nie zdołam poznać wszystkich miast, które zawiera”.

W gruncie rzeczy Marko, mówiąc mu o swoich miastach, niepotrzebnie posługiwał się tyloma rekwizytami: wystarczyłaby szachownica z figurami, których kształty dają się ściśle zaszeregować. Każdej figurze można było kolejno przypisywać odpowiednie znaczenie: koń mógł przedstawiać tak prawdziwego konia, jak orszak powozów, kroczące wojsko, posąg konny; królowa mogła być wychyloną z balkonu damą, fontanną, kościołem ze spiczastą kopułą, krzakiem pigwy.

Po powrocie z ostatniej misji Marko Polo zastał Chana, jak czekał nań, siedząc nad szachownicą. Gestem zaprosił Marka, by usiadł naprzeciw niego i za pomocą samych tylko szachów opisał miasta, które odwiedził. Wenecjanin nie upadł na duchu. Szachy Wielkiego Chana były dużymi figurami z polerowanej kości słoniowej: ustawiając na szachownicy nacierające wieże i płochliwe konie, gromadząc roje pionków, kreśląc aleje proste i ukośne jak stąpanie królowej, Marko odtwarzał perspektywy i przestrzenie miast białych i czarnych w księżycowe noce.

Kontemplując te krajobrazy sprowadzone do esencji, Kubłaj zastanawiał się nad niewidzialnym porządkiem, który rządzi miastami, nad zasadami, jakim odpowiada ich powstawanie i kształtowanie, i rozkwit, i podążanie za porami roku, i uwiąd, i ruina. Chwilami miał wrażenie, że jest o krok od odkrycia spójnego i harmonijnego systemu, który leży u podstaw nieskończonych rozbieżności i dysharmonii, ale żaden model nie wytrzymał porównania z grą w szachy. Może zamiast łamać sobie głowę tworzeniem, z mizerną pomocą kościanych figur, wizji i tak skazanych na zapomnienie, wystarczyło rozegrać partię zgodnie z regułami i rozważać każdy kolejny stan szachownicy jako jedną z niezliczonych form, które system form zestawia i burzy.

Kubłaj-chan nie potrzebował już wysyłać Marka Polo na dalekie wyprawy: przetrzymywał go na niekończących się partiach szachów. Poznanie imperium kryło się w rysunku kreślonym przez kanciaste skoki konia, przez ukośne przejścia, które prowadzą do wypadów gońca, przez powściągliwy i ostrożny krok króla i skromnego pionka, przez nieuchronne alternatywy każdej rozgrywki.

Wielki Chan usiłował wczuć się w grę, ale teraz wymykał mu się jej cel. Każda rozgrywka prowadzi do wygranej lub przegranej: ale czego? Co jest prawdziwą stawką? Przy macie, pod stopą króla, zmiecionego dłonią zwycięzcy, pozostaje czarny lub biały kwadrat. Odcieleśniając swoje podboje, aby sprowadzić je do samej istoty, Kubłaj doszedł do krańcowej operacji: ostateczny podbój, dla którego wielokształtne skarby imperium były tylko złudną powłoką, sprowadzał się do kawałka oheblowanego drewna, do nicości.

Miasta i nazwa. 5.

Irena to miasto, które widać, jeśli wychylić się za krawędź płaskowyżu o godzinie kiedy zapalają się światła, a poprzez przejrzyste powietrze można rozróżnić rozetę skupisk ludzkich: to gęstnieje od okien, to rzednie w słabo oświetlonych zaułkach, to zgarnia cienie ogrodów, to wyciąga ku górze wieże ze światłami sygnałów; a jeśli wieczór jest mglisty, rozproszona jasność, jak mleczna gąbka, wzdyma się u podnóża wąwozów.

Podróźni z płaskowyżu, pasterze, którzy pędzą trzody, ptasznicy zaczajeni przy sieciach, pustelnicy zbierający cykorię, wszyscy spoglądają w dół i mówią o Irenie. Wiatr przynosi czasami dźwięki bębnow i trąb, trzask rac rozświetlających zabawę; czasem pęknięcie kartaczy, wybuch prochowni na niebie żółtym od pożarów wznieconych przez wojnę domową. Patrzący z góry snują domysły o tym, co dzieje się w mieście, zadają sobie pytanie, czy byłoby miło czy niemiło przebywać tego wieczoru w Irenie. Nie żeby zamierzali tam się udać – zresztą drogi prowadzące w dół są niedobre – ale Irena przyciąga jak magnetyczne spojrzenia i myśli tego, kto znajduje się na górze.

W tym miejscu Kubłaj-chan oczekuje, aby Marko zaczął mówić o Irenie widzianej od wewnątrz. A Marko nie może tego uczynić: nie zdołał się dowiedzieć, jakie miasto ludzie z płaskowyżu nazywają Ireną; zresztą to nie ma znaczenia: oglądane od środka, byłoby innym miastem; Irena – to nazwa miasta z oddali, a nazwa ta zmienia się, gdy się do niego przybliżyć.

Inne jest miasto tego, kto mija je, nie zatrzymując się, a inne tego, kto raz przez nie pojmany, nigdy go nie opuszcza; inne jest miasto, do którego przyjeżdża się po raz pierwszy, zaś inne to, które porzuca się, aby nigdy do niego nie wrócić; każde zasługuje na odmienną nazwę; może mówiłem już o Irenie pod innymi imionami; może przez cały czas mówiłem tylko o Irenie.

Miasta i umarli. 4.

Argia różni się od innych miast tym, że zamiast powietrza ma ziemię. Ulice są całkiem zakopane, pokoje – wypełnione gliną aż po sufit, na schodach opierają się drugie, odwrócone schody, nad dachami ciążyą warstwy skalistego gruntu, jak nieboskłony z chmurami. Nie wiemy, czy mieszkańcy mogą się poruszać po mieście, poszerzając podziemne chodniki, wydrążone przez robaki, i szczeliny, w które wciskają się korzenie drzew: wilgoć rozkłada ciała i niewiele pozostawia się; lepiej więc leżeć bez ruchu, zresztą i tak jest ciemno.

Stąd, w górze, z Argii nie widać nic; niektórzy mówią: „Jest tam w dole” i można im tylko uwierzyć; okolica jest bezludna. Nocą, jeśli przyłożyć ucho do ziemi, można czasem dosłyszeć trzaśnięcie drzwiami.

Miasta i niebo. 3.

Ten, kto przybywa do Tekli, niewiele dostrzega z miasta, poprzez parkany z desek, osłony z płótna workowego, rusztowania, metalowe szkielety, drewniane pomosty zawieszane na linach lub wsparte na kozłach, drabiny, kratownice. Na pytanie: Dlaczego budowa Tekli tak długo się ciągnie? – mieszkańcy, nie przestając podnosić wiader, spuszczać pionów, przesuwając w górę i w dół długich pędzli, odpowiadają: Żeby nie zaczęło się burzenie. A kiedy ich zapytać, czy obawiają się, że miasto zacznie się kruszyć i rozpadać, skoro tylko usuną rusztowania, dorzucają pospieszenie, półgłosem: Nie tylko miasto.

Jeśli ktoś, nie zadowolony z tymi odpowiedziami, przyłoży oko do szpary w ogrodzeniu, zobaczy żurawie, które wznoszą inne żurawie, oszalowania kryjące dalsze oszalowania, belki, na których wspierają się dalsze belki.

– Jaki sens ma wasze budowanie? – pyta. – Cóż jak nie miasto może mieć na celu budowa miasta? Gdzie jest wasz plan, projekt?

– Pokażemy ci go, skoro tylko skończy się dzień, teraz nie możemy przerwać – odpowiadają.

Praca ustaje o zmierzchu. Nad budową zapada noc. Gwiazdzista noc.

– Oto projekt – mówią.

Ciągle miasta. 2.

Gdybym, lądując w Trudzie, nie przeczytał nazwy miasta wypisanej wielkimi literami, sądziłbym, że przybyłem na to samo lotnisko, skąd wyruszałem. Przedmieścia, przez które mnie powieziono, niczym nie różniły się od poprzednich, z identycznymi domami w kolorze żółtawym i zielonkawym. Jadąc za identycznymi strzałkami, okrążyliśmy takie same skwery na takich samych placach. Śródmiejskie ulice wystawiały na pokaz niezmienione w niczym towary opakowania reklamy. Byłem po raz pierwszy w Trudzie, a już znałem hotel, w którym przyszło mi się zatrzymać; słyszałem już i wypowiedziałem moje dialogi z nabywcami i sprzedawcami żelastwa; zakończyłem już inne takie same dni, patrząc przez identyczne szklanki na takie same falujące pępki.

Po co przyjeżdżać do Trudy? – zadawałem sobie pytanie. I już chciałem wyjechać.

– Możesz odlecieć w każdej chwili – powiedziano mi – ale przybędziesz do innej Trudy, takiej samej kropka w kropkę. Truda, pozbawiona początku i końca, pokrywa cały świat, zmienia się tylko nazwa na lotnisku.

Ukryte miasta. 1.

Ten, kto uda się do Olindy z soczewką i będzie szukał uważnie, może w jakimś miejscu znaleźć punkt nie większy niż główka od szpilki, w którym, w powiększeniu, da się dostrzec dachy anteny lukarny ogrody sadzawki, transparenty rozwieszane w poprzek ulic, pawilony na placach, tor wyścigów konnych. Punkt ten nie pozostaje niezmienny: kiedy odnajdziesz go po roku, będzie wielkości połówki cytryny, potem – borowika, później – głębokiego talerza. I wreszcie staje się miastem naturalnej wielkości, zamkniętym wewnątrz poprzedniego miasta: nowym miastem, które rozpięra się pośrodku poprzedniego i wypycha je na zewnątrz.

Olinda nie jest rzecz jasna jedynym miastem, które rozrasta się koncentrycznymi kręgami, jak pnie drzew powiększające się co roku o jeden słój. Ale innym miastom zostaje pośrodku dawny ciasny pierścień murów, z którego sterczą uschłe dzwonnice wieże ceglane dachy kopuły, podczas gdy nowe dzielnice wybrzuszą się dokoła jak z popuszczanego pasa. W Olindzie inaczej: stare mury rozszerzają się, unosząc z sobą dawne dzielnice, powiększone, z zachowaniem proporcji, na szerszy widnokrąg u granic miasta; otaczają one dzielnice nie tak stare, które również poszerzyły swój obwód i stały się cieńsze, aby zrobić miejsce nowszym dzielnicom napierającym od środka; i tak dalej, aż do samego serca miasta: nowiutka Olinda w swych zmniejszonych rozmiarach zachowuje rysy i krwiobieg pierwszej Olindy i tych wszystkich, jakie się wykluwały jedna z drugiej; a w środku tego wewnętrznego kręgu już kiełkują – choć trudno je rozróżnić – następna Olinda i Olindy, które po niej wyrosną.

... Wielki Chan usiłował wczuć się w grę: ale teraz wymykał mu się jej cel. Każda rozgrywka prowadzi do wygranej lub przegranej: ale czego? Co jest prawdziwą stawką? Przy macie, pod stopą króla, zmiecionego dłonią zwycięzcy, pozostaje nicość: czarny lub biały kwadrat. Odcieleśniając swoje podboje, aby sprowadzić je do samej istoty, Kubłaj doszedł do krańcowej operacji: ostateczny podbój, dla którego wielokształtne skarby imperium były tylko złudną powłoką, sprowadzał się do kawałka oheblowanego drewna.

Wówczas Marko Polo przemówił:

– Twoja szachownica, najjaśniejszy panie, jest intarsją dwóch gatunków drewna: hebanu i klonu. Kwadracik, w którym utkwiał teraz twój światły wzrok, wycięto z warstwy pnia narosłej w roku suszy: widzisz, jak układają się włókna? Tu można dostrzec ledwie zarysowany sęczek: pąk próbował wykiełkować w pewien przedwcześnie wiosenny dzień, ale nocny szron zmusił go do poniesienia zamiaru.

Wielki Chan nie uprzytamniał sobie dotychczas, że cudzoziemiec potrafi wysławić się płynnie w jego języku, ale nie tego zdumiało.

– Tutaj powiększony por: może gnieździła się w nim poczwarka; nie czerwia, bo ten, zaraz po urodzeniu, zaczęłby dalej drążyć, ale gąsienicy, która obgryzła liście, przez co drzewo przeznaczono na zrąb... Tę krawędź stolarz wyźłobił dłutkiem, aby lepiej przylegała do sąsiedniego, trochę wystającego kwadratu...

Kubłaj tonął w masie rzeczy, jakie można było odczytać na gładkim i pustym kawałeczku drewna; w tym czasie Marko mówił już o hebanowych lasach, o tratwach z pni pławionych z biegiem rzek, o przystaniach, o kobietach w oknach...

Wielki Chan posiada atlas, gdzie wszystkie miasta imperium i sąsiednich królestw są zaznaczone pałac po pałacu i ulica po ulicy, z murami obronnymi, rzekami, mostami, portami, skałami nadbrzeży. Wie, że w relacjach Marka Polo na próżno by oczekiwać wiadomości o tych znanych mu zresztą dobrze miejscach: o tym, że w Kambaluku, stolicy Chin, mieszczą się jedno w drugim trzy kwadratowe miasta, każde z czterema świątyniami i czterema bramami, które otwierają się w kolejności następowania po sobie pół roku; o tym, jak na wyspie Dżawie szaleje nosorożec, atakując morderczym rogiem; o tym, jak łowi się perły na dnie morza u brzegów Maabaru.

Kublaj pyta Marka:

– Kiedy powrócisz na Zachód, będziesz powtarzał swoim ziomkom to samo, co opowiesz mi?

– *Ja mówię i mówię – powiada Marko – ale mój słuchacz zatrzymuje tylko te słowa, których oczekuje. Inne jest opisanie świata, któremu ty skłaniasz łaskawe ucho, zaś inne obiegnie izby tragarzy i gondolierów u podnóża mojego domu, w dniu, kiedy powrócę, inne jeszcze mógłbym podyktować w podeszłym wieku, gdybym popadł w niewolę genueńskich piratów i wrzucono by mnie w dybach do wspólnej celi z pisarzem powieści przygodowych. Opowiadaniem rządzą nie usta, lecz ucho.*

– *Czasem wydaje mi się, że twój głos dociera do mnie z oddali, gdy ja tymczasem jestem więźniem natrętej i nieznośnej rzeczywistości, w której wszystkie formy ludzkiego współżycia osiągnęły kres swego cyklu i nie można przewidzieć, jakie nowe formy przybiorą. I słucham z twoich ust o niewidzialnych prawach, którymi miasta żyły i na których mocy być może odżyją po śmierci.*

Wielki Chan posiada atlas, którego rysunki przedstawiają glob ziemski w całości i kontynent po kontynencie, granice najodleglejszych królestw, trasy statków, kontury wybrzeży, mapy najświetniejszych metropolii i najbogatszych portów. Przerzuca stronicę przed oczyma Marka Polo, żeby wypróbować jego wiedzę. W mieście, które wieńczy z trzech stron długą cieśninę, wąską zatokę i zamknięte morze, podróżnik rozpoznaje Konstantynopol; pamięta, że Jerozolima na dwu górach leży, które usiadły właśnie przeciw sobie; wskazuje bez wahania Samarkandę i jej ogrody.

Przy innych miastach wspomaga się opisami przekazywanymi z ust do ust lub odgaduje na chybił trafił, na podstawie skąpych wskazówek: oto Grenada, tęczowa perła kalifów, Lubeka, schludny północny port, Timbuktu, które czernieje hebanem i bieleje kością słoniową, Paryż, gdzie codziennie miliony ludzi powracają do domów, dzierząc w dłoni podłużną bułkę. Atlas przedstawia na barwnych miniaturach skupiska ludzkie o niezwykłym kształcie: oaza ukryta w załomie pustyni, skąd wystają tylko wierzchołki palm – to z pewnością Nefta; zamek pośród ruchomych piasków i krów, które skubią łąki osolone przez przypływy, nie może nie przypominać Mont-Saint-Michel, a pałac, który zamiast wznosić się wewnątrz murów miejskich, zamyka miasto w swoich murach, może oznaczać tylko Urbino.

Atlas przedstawia również miasta, co do których ani Marko, ani geografowie nie wiedzą, czy i gdzie istnieją, lecz nie mogło ich zabraknąć wśród form miast możliwych: Cuzco o promienistym i rozczłonkowanym planie, który odzwierciedla doskonały porządek wymiany, Meksyk zieleniejący nad jeziorem, gdzie króluje pałac Montezumy, Nowogród z pękatymi kopułami, Lhasę wznoszącą białe dachy nad pochmurnym dachem świata. Dla nich również Marko wymienia nazwę, obojętne jaką, i szkicuje prowadzącą tam trasę. Wiadomo, że nazwy miast mają tyle odmian, ile jest cudzoziemskich języków, i że w każde miejsce można dotrzeć z innych miejsc najróżniejszymi drogami, jadąc konno wozem wiosłując frunąc.

– Mam wrażenie, że lepiej rozpoznajesz miasta w atlasie, niż kiedy sam je odwiedzasz – mówi cesarz do Marka, zatrzaszkując księgę.

A na to Polo:

– Podróżując, spostrzegasz, że różnice zanikają: każde miasto upodabnia się do wszystkich miast, miejsca wymieniają ze sobą formy kolejność odległości, drobny, bezkształtny pył zasypuje kontynenty. Twój atlas przechowuje różnice nietknięte: zasób przymiotów, które są jak litery imienia.

Wielki Chan posiada atlas, w którym zebrano mapy wszystkich miast: tych, których mury wznoszą się na trwałych fundamentach, tych, które upadły w gruzy i zostały pochłonięte przez piaski, tych, które kiedyś powstaną w miejscach, gdzie teraz jeszcze są tylko zajęcze nory.

Marko Polo przerzuca mapy, rozpoznaje Jerycho, Ur, Kartaginę, wskazuje przystanie u ujścia Skamandra, gdzie achajskie okręty przez dziesięć lat czekały na powrót oblężników, zanim przez Skajskie Wrota przeciągnięto kołowrotami konia, którego szczepił sworzniami Ulisses. Ale mówiąc o Troi, nadawał jej kształt Konstantynopolu i przewidywał, jak przez długie miesiące będzie ją oblegał Mahomet, który, przebiegły jak Ulisses, każe przeciągnąć nocą okręty w górę potoków, z Bosforu do Złotego Rogu, omijając Perę i Galatę. I z pomieszenia tych dwóch miast wynikało trzecie, które mogłoby nazywać się San Francisco i wyciągać długie, lekkie mosty nad Złotymi Wrotami i nad zatoką, i wdrapywać się zębatymi tramwajami na biegnące stromo w górę ulice, i rozkwitać, w tysiąc lat później, jako stolica Pacyfiku, po długim, trzechsetletnim oblężeniu, które doprowadziło rasę żółtych i czarnych, i czerwonych do złania się z ocalałym potomstwem białych w imperium większym od cesarstwa Wielkiego Chana.

Atlas odznacza się tym: objawia kształt miast, które nie mają jeszcze kształtu ani imienia. Jest miasto w kształcie Amsterdamu, zwrócone na północ półkole, z koncentrycznymi kanałami: Książąt, Cesarza, Panów; jest miasto w kształcie Jorku, wciśnięte między wysokie wrzosowiska, całe w murach, najeżone wieżami; jest miasto w kształcie Nowego Amsterdamu, zwane także Nowym Jorkiem, ciasne od wież ze szkła i stali, na wydłużonej wyspie między dwiema rzekami, z ulicami jak głębokie kanały, prostymi, z wyjątkiem Broadwayu.

Katalog kształtów nie ma końca: dopóki każdy kształt nie znajdzie swego miasta, dalej będą się rodziły nowe miasta. Tam, gdzie kształty wyczerpują swoje warianty i rozpadają się, zaczyna się koniec miast. Na ostatnich mapach atlasu rozpełzały się siatki bez początku i końca, miasta w kształcie Los Angeles, w kształcie Kioto-Osaki, bez kształtu.

Miasta i umarli. 5.

Każde miasto, jak Laudomia, ma przy sobie inne miasto, którego mieszkańcy noszą te same imiona: to Laudomia umarłych, cmentarz. Ale Laudomia odznacza się tym, że jest nie tylko podwójna, ale potrójna, to jest obejmuje jeszcze trzecią Laudomię, miasto nienarodzonych.

Własności podwójnego miasta są znane. Im bardziej zaludnia się i rozrasta Laudomia żywych, tym rozleglejsze stają się pola grobów za murami. Ulice Laudomii zmarłych są szerokie na tyle tylko, żeby mógł po nich krążyć wózek grabarza, a budynki nie mają okien, ale bieg ulic i kolejność domostw powtarzają układ żywej Laudomii i, jak w niej, rodzinom jest coraz ciasniej w gęsto spiętrzonych niszach. W pogodne popołudnia żyjąca ludność składa wizyty zmarłym i na ich kamiennych tablicach odczytuje własne nazwiska: na podobieństwo miasta żywych, Laudomia zmarłych opowiada historię trudów, wybuchów złości, złudzeń, uczuć, tylko że tutaj wszystko stało się konieczne, uwolnione od przypadkowości, poszufladkowane, uporządkowane. I żeby się poczuć pewniej, żywa Laudomia musi szukać w Laudomii umarłych wytłumaczenia dla samej siebie, nawet ryzykując, że znajdzie tam zbyt wiele lub zbyt mało: wytłumaczenie nie tylko dla jednej Laudomii, ale dla różnych miast, które mogły istnieć, a nie istniały, lub raczej częściowe, sprzeczne, zawodne.

Słusznie czyni Laudomia, iż przyznaje równie obszerną siedzibę tym, którzy mają się dopiero narodzić; oczywiście przestrzeń ta nie jest proporcjonalna do ich liczby, którą przyjmuje się za nieskończoną, ale że jest to miejsce puste, otoczone zabudową pełną nisz i wgłębień, i rowkowań i skoro nienarodzonym można przypisać dowolne wymiary, wielkość myszy lub jedwabników albo mrówek czy mrówczych jajeczek, nic nie stoi na przeszkodzie, aby wyobrazić ich sobie na każdym przedmiocie czy konsoli, która wystaje ze ścian, na każdym kapitelu czy cokole, wyprostowanych lub skulonych, w rzędzie lub bezładnie, oddających się zajęciom swych przyszłych egzystencji, i oglądać, w jednej rysie na marmurze, całą Laudomię za sto lub tysiąc lat, wypełnioną tłumami w odzieży o niespotykanych formach, na przykład wszyscy w burnusach koloru bakłazana albo wszyscy z bażancimi piórami przy turbanach, i rozpoznawać w nich własnych potomków i potomstwo rodzin sprzymierzonych i wrogich, dłużników i wierzycieli, którzy krążą we wszystkie strony, przedłużając w nieskończoność interesy, zemsty, zaręczyny z miłości i dla pieniędzy. Żywi Laudomii odwiedzają dom nienarodzonych i zadają im pytania; kroki rozbrzmiewają pod pustymi sklepieniami, pytania stawia się w milczeniu. Żywi pytają zawsze o siebie samych, a nie o tych, co nadejdą; jeden troszczy się, aby zostawić po sobie świetlane wspomnienia, inny – żeby puszczone w niepamięć jego hańbę; wszyscy chcieliby śledzić wątek skutków swoich czynów; lecz im bardziej wyteżają wzrok, tym słabiej rozpoznają ciągłość śladu; ci, którzy mają narodzić się w Laudomii, jawią się na kształt punktów jak pyłki kurzu, oderwani od tego, co przedtem i co potem.

Laudomia nienarodzonych, w odróżnieniu od miasta umarłych, nie przekazuje mieszkańcom żywej Laudomii żadnej pewności, a tylko przestrach. Myśli odwiedzających natrafiają w końcu na dwie drogi i nie wiadomo, która z nich gotuje więcej lęku: albo przypuści się, że liczba tych, którzy mają się narodzić, przewyższa znacznie sumę wszystkich żywych i wszystkich umarłych, a wówczas w każdym porze kamienia cisną się niewidzialne tłumy, stłoczone na zboczach leja jak na stopniach stadionu, a ponieważ potomstwo Laudomii pomnaża się w każdym pokoleniu, w każdym leju otwierają się setki lejów z milionami ludzi, którzy dopiero się narodzą, i którzy wyciągają szyje, i otwierają usta, żeby się nie udusić; albo przypuści się, że i Laudomia zniknie pewnego dnia, nie wiadomo kiedy, a z nią wszyscy jej mieszkańcy, to znaczy pokolenia będą następować po sobie, aż osiągną pewną liczbę i już jej nie przekroczą, a wówczas Laudomia umarłych i Laudomia nienarodzonych są jak dwa naczynia klepsydry, która się nie odwróci, każde przejście między narodzinami a śmiercią – to ziarenko piasku, które przeżywa przesmyk, i narodzi się ostatni mieszkaniec Laudomii, spadnie ostatnie ziarenko piasku, które obecnie czeka u szczytu kopca.

Miasta i niebo. 4.

Astronomowie, kiedy zwrócono się do nich, aby podyktowali zasady, według których powstać miała Peryncja, ustalili miejsce i dzień według położenia gwiazd, nakreślili krzyżujące się linie ze wschodu na zachód i z północy na południe, skierowane jedna – zgodnie z biegiem słońca, druga – jak oś, wokół której krążą nieboskłony, podzielili mapę podług dwunastu części zodiaku, tak aby każda świątynia i każda dzielnica pozostawała pod właściwym wpływem odpowiednich konstelacji, wyznaczyli punkt na murach, gdzie należy wybić bramy, tak aby każda z nich ujmowała jedno z zaćmień księżyca przez najbliższe tysiąclecie. Peryncja – zapewnili – będzie odzwierciedlać harmonię firmamentu; prawo natury i łaska bogów ukształtują losy mieszkańców.

Zbudowano Peryncję dokładnie według obliczeń astronomów; zasiedliły ją różne ludy; pierwsze pokolenie narodzone w Peryncji zaczęło wzrastać w jej murach, aż i ono z kolei osiągnęło wiek, by wstąpić w związki małżeńskie i mieć potomstwo.

Na ulicach i placach Peryncji spotkasz dziś kaleki, karły, garbatych, otyłych, kobiety z brodą. Ale nie widzisz najgorszego; gardłowe wrzaski wydobywają się z piwnic i strychów, gdzie rodziny ukrywają dzieci o trzech głowach lub sześciu nogach.

Astronomowie Peryncji stoją przed trudnym wyborem: albo przyznać, że ich wszystkie obliczenia były błędne, a ich liczby nie zdołają opisać nieba, albo wyjawić, że odbiciem boskiego porządku jest właśnie miasto potworów.

Ciągłe miasta. 3.

Co roku w moich podróżach zatrzymuję się w Prokopii i wynajmuję stale ten sam pokój w tej samej gospodzie. Już od pierwszego razu przyglądałem się krajobrazowi, który widać spoza uchylonej firanki: rów, most, murek, drzewko jarzębiny, pole kukurydzy, jeżynowe zarośla, kurnik, żółty grzbiet pagórka, biały obłok, wycinek błękitnego nieba w kształcie trapezu. Jestem pewien, że za pierwszym razem nie było widać nikogo; dopiero w rok później, spostrzegłszy ruch wśród listowia, zdołałem rozróżnić okrągłą i płaską twarz, która obgryzała kolbę kukurydzy. Po roku było ich trzech na murku, a kiedy wróciłem, ujrzałem ich sześciu, jak siedzieli rzędem z rękoma na kolanach i kilkoma owocami jarzębiny w misce. Co roku, skoro tylko wszedłem do pokoju, unosiłem firankę i dostrzegałem o kilka twarzy więcej: szesnastu, łącznie z tymi w rowie; dwudziestu dziewięciu, w tym ośmiu skulonych na jarzębinie; czterdziestu siedmiu, nie licząc tych w kurniku. Są do siebie podobni, wydają się mili, mają piegi na policzkach, uśmiechają się, paru z nich ma usta umazane jeżynami. Wkrótce zobaczyłem cały most pełen facetów z okrągłymi twarzami, przykucniętych, bo nie mieli już gdzie się ruszyć; chrupali kolby, potem ogryzali kaczany.

I tak z roku na rok widziałem, jak znika rów, drzewko, jeżyny, ukryte za przegrodą spokojnych uśmiechów, pomiędzy okrągłymi policzkami, które poruszają się, żując liście. Nie sposób sobie wyobrazić, ilu ludzi może się zmieścić na przestrzeni tak ciasnej jak to poletko kukurydzy, zwłaszcza jeśli siedzą nieruchomo, obejmując ramionami kolana. Jest ich chyba znacznie więcej, niż się zdaje: widziałem, jak coraz gęściejszy tłum pokrywa grzbiet pagórka; ale od kiedy ci z mostu zwykli siadać okrakiem jedni na ramionach drugich, nie mogę już sięgnąć wzrokiem tak daleko.

Wreszcie w tym roku, kiedy podniosę firankę, w ramach okna ukazuje się tylko bezkres twarzy: od jednego do drugiego rogu, na wszystkich poziomach i we wszystkich odległościach widać te okrągłe, nieruchome, spłaszczone twarze z cieniem uśmiechu, a między nimi liczne dłonie chwytające się ramion tych, którzy stoją z przodu. Nawet niebo zniknęło. Właściwie mogę odejść od okna.

Niełatwo mi się poruszać. W moim pokoju mieszkamy w dwudziestu sześciu: żeby postawić nogę, muszę potrącić tych, którzy skulili się na dywanie, toruję sobie drogę między kolanami tych, którzy siedzą na komodzie, i łokciami tych, którzy na zmianę opierają się o łóżko: na szczęście wszyscy są mili.

Ukryte miasta. 2.

Nie jest szczęśliwe życie w Raissie. Ludzie idą ulicami, wyłamując sobie dłonie ze stawów, złorzeczą zabezpieczonym dzieciom, ściskając skronie pięściami, opierają się o nadrzeczne poręcze, rankiem budzą się z jednego złego snu i zaczynają drugi. Przy warsztatach, gdzie co chwila ktoś rozbija sobie palec młotkiem lub kłuje igłą, czy też nad kolumnami koślawych cyfr w rejestrach kupców i bankierów albo przed rzędami pustych szklanek na bufetach szynków, dobrze przynajmniej, że pochylenie głów oszczędza ci niezyczliwych spojrzeń. W domach – jeszcze gorzej, a żeby się o tym przekonać, nie trzeba nawet wchodzić do środka; latem okna rozbrzmiewają od kłótni i rozbijanych talerzy.

Ajednak w Raissie wkażdym momencie znajdzie się dziecko, które śmieje się z okna do psa, co wskoczył na daszek, by złapać w zęby kawałek placka upuszczony przez murarza, który z wierzchołka rusztowania zawołał: – Kochana, daj umoczyć! – do młodej oberżystki, która unosi talerz ragout w cieniu pergoli, zadowolona, że może go podać sprzedawcy parasoli świętującemu dobry interes – parasolkę z białej koronki, kupioną przez wielką damę, aby mogła paradować z nią na wyścigach, gdyż kocha się w oficerze, który przeskakując ostatni płotek, uśmiechnął się do niej szczęśliwy, lecz jeszcze szczęśliwszy był jego koń, kiedy wzlatywał nad przeszkodami, patrząc, jak wzlatuje w powietrze frankolin, szczęśliwy ptak uwolniony z klatki przez malarza, szczęśliwego, że odmalował go, piórko po piórku, z czerwonymi i żółtymi cętkami, na miniaturze tej stronicy w księdze, gdzie filozof mówi: „Również i w smutnym mieście Raissie biegnie niewidzialna nić, która wiąże na chwilę jedną istotę z drugą i zaraz się rozwiązuje, potem napręża na nowo między punktami w ciągłym ruchu, kreśląc nowe pospieszne figury, toteż w każdej sekundzie nieszczęśliwe miasto zawiera miasto szczęśliwe, które nie wie nawet o własnym istnieniu”.

Miasta i niebo. 5.

Andrię zbudowano tak kunsztownie, że każda ulica biegnie w niej podług orbity jakiejś planety, a budynki i miejsca, gdzie koncentruje się życie publiczne, odtwarzają układ konstelacji i położenie najjaśniejszych gwiazd: Antaresa, Alpharda, Capelli, Cefeid. Kalendarz miasta tak jest sporządzony, że prace i obrzędy, i uroczystości rozkładają się na mapie, która odpowiada firmamentowi danego dnia: tym sposobem odbijają się w sobie dnie na ziemi i noce na niebie.

Pomimo iż rządzą nim drobiazgowy przepisy, życie miasta toczy się spokojnie jak ruch ciał niebieskich zgodnie z koniecznością właściwą zjawiskom niezależnym od ludzkiej woli. Mieszkańcom Andrii, kiedy chwaliłem ich pomysłowe wyroby i pogodę ducha, rzekłem z pewnym wahaniem:

– Dobrze rozumiem, że czując się częścią niezmiennego nieba, trybami precyzyjnego mechanizmu, wystrzegacie się, żeby nie wprowadzić najmniejszych zmian w waszym mieście i w waszych obyczajach. Andria jest jedynym ze znanych mi miast, dla którego najkorzystniej jest pozostawać nieruchomym w czasie.

Popatrzyli po sobie w osłupieniu:

– Ależ dlaczego? Kto tak twierdzi?

I poprowadzili mnie, żebym zwiedził niedawno otwarte wiszące przejście nad gajem bambusowym, teatr cieni budowany w miejscu psiarni miejskiej, przeniesionej obecnie do pawilonów dawnego lazaretu, który przestał istnieć z powodu wyzdrowienia ostatnich zadżumionych i – świeżo ukończone – port rzeczny, pomnik Talesa, zjeżdżalnię.

– A czy te innowacje nie zakłócają astralnego rytmu waszego miasta? – spytałem.

– Tak doskonała jest harmonia między naszym miastem a niebem – odrzekli – że każda przemiana Andrii wywołuje coś nowego wśród gwiazd. Astronomowie spoglądają przez teleskopy po każdej zmianie, jaka dokonuje się w Andrii, i sygnalizują wybuch nowej albo zmianę barwy odległego punktu firmamentu z pomarańczowej na żółtą, rozszerzanie się jakiejś mgławicy, zakrzywianie któregoś z zakoli Drogi Mlecznej. Każda zmiana pociąga za sobą łańcuch dalszych zmian, tak w Andrii jak wśród gwiazd: miasto i niebo nie są nigdy niezmiennie.

Co się tyczy charakteru mieszkańców Andrii, godne są wzmianki dwa przymioty: pewność siebie i ostrożność. Przeświadczeni, że wszelkie innowacje w mieście wpływają na rysunek nieba, przed podjęciem każdej decyzji obliczają ryzyko i korzyści dla siebie i dla całości miasta i światów.

Ciągłe miasta. 4.

Wyrzucasz mi, że każda z moich opowieści przenosi cię w sam środek miasta, pomijając milczeniem przestrzeń, jaka rozciąga się między jednym miastem a drugim: to, czy pokrywają ją morza, pola żyta, lasy modrzewiowe, bagniska. Odpowiem ci pewną historią.

Na ulicach świetnego miasta Cecylii spotkałem kiedyś pasterza, który poganiał pod miarami brzęczące dzwoneczkami stado kóz.

– Człowieku, któremu niebiosa błogosławią – zagadnął mnie, przystając – czy mógłbyś mi powiedzieć, jak nazywa się miasto, w którym jesteśmy?

– Niech cię bogowie prowadzą! – wykrzyknąłem. – Jak możesz nie rozpoznać prześwietnego miasta Cecylii?

– Powinieneś mi współczuć – odrzekł tamten. – Jestem wędrownym pasterzem. Czasami mnie i moim kozom zdarza się przemierzać miasta; ale nie potrafimy ich rozróżnić. Spytaj mnie o nazwy pastwisk: znam je wszystkie, Łąka pośród Skał, Zielony Stok, Ocieniona Trawa. Miasta nie mają dla mnie nazwy: to miejsca bez liści, między jednym a drugim pastwiskiem, gdzie kozy płoszą się i rozpierzchają na skrzyżowaniach. Ja i pies biegniemy, żeby utrzymać razem trzodę.

– Ja, w przeciwieństwie do ciebie – stwierdziłem – rozpoznaję tylko miasta, a nie odróżniam tego, co poza nimi. W niezamieszkałych miejscach każdy kamień i każde źdźbło trawy myślą się w moich oczach z każdym kamieniem i źdźbłem.

Od tamtego czasu upłynęło wiele lat; poznałem jeszcze liczne miasta i przemierzyłem kontynenty. Pewnego dnia szedłem wśród narożników identycznych domów: zabłądziłem. Spytalem jakiegoś przechodnia:

– Oby chronili cię nieśmiertelni, czy możesz mi powiedzieć, gdzie jesteśmy?

– W Cecylii, na nieszczęście! – odpowiedział mi. – Od dawna już chodzimy po jej ulicach, ja i kozy, i nie udaje się nam stąd wydostać.

Poznałem go mimo długiej białej brody: był to ten sam pasterz. Podążyła za nim garstka wyłysiałych kóz, które już nawet nie cuchnęły, bo została z nich skóra i kości. Skubały stare papiery w kubłach na śmieci.

– To być nie może! – zawołałem. – Ja też, nie wiem już jak dawno, wszedłem do miasta i od tamtego czasu wciąż zapuszczam się w jego ulice. Ale jak dotarłem w to miejsce, skoro znajdowałem się w innym mieście, o sto mil od Cecylii, i jeszcze z niego nie wyszedłem?

– Miejsca się przemieszały – powiedział pasterz. – Cecylia jest wszędzie; tu była chyba kiedyś Łąka Drobnej Szałwii. Moje kozy rozpoznają trawy dzielące pasy ruchu.

Ukryte miasta. 3.

Jedna z Sybilli, zapytana o przeznaczenie Marozji, rzekła: „Widzę dwa miasta: miasto szczura i miasto jaskółki”.

Wyrocznie zinterpretowano w ten sposób: dzisiejsza Marozja jest miastem, gdzie wszyscy biegają po podziemnych ołowianych tunelach, jak stada szczurów, które wyrywają sobie z zębów resztki wypuszczone z zębów przez najgroźniejsze szczury; lecz wkrótce zacznie się nowy wiek, kiedy wszyscy w Marozji będą szybować jak jaskółki po letnim niebie, przywołując się jak dla zabawy, popisując się akrobacjami przy nieruchomych skrzydłach, oczyszczając powietrze z much i komarów.

Czas, żeby dobiegła kresu era szczura i rozpoczęła się era jaskółki – postanowili co energiczniejsi. I rzeczywiście, pod dziką i małoduszną przewagą szczurów czuło się, jak wśród ludzi skromniejszej kondycji tli się poryw jaskółek, które zgrabnym ruchem ogona wzbijają się w przejrzyste powietrze i rysują ostrzem skrzydeł krzywiznę rozszerzającego się horyzontu.

Wróciłem po latach do Marozji; uważa się, że prorocstwo Sybilli ziściło się od dawna; stary wiek został pogrzebany; nowy jest u zenitu. Miasto zmieniło się niewątpliwie, i może na lepsze. Ale jedyne skrzydła, jakie udało mi się dostrzec – to skrzydła nieufnych parasoli, pod którymi ociężałe powieki ukrywają spojrzenia; sporo ludzi sądzi, że wlatuje w powietrze, ale co najwyżej unoszą się z ziemi, trzepocząc chałatami na kształt nietoperzy.

Zdarza się jednak, że kiedy zbliżysz się do zwartych murów Marozji, w najbardziej niespodziewanej chwili otwiera się szczelina i ukazuje odmienne miasto, które znika w jednym mgnieniu. Może cały sekret w tym, żeby umieć wypowiedzieć odpowiednie słowa, wykonać odpowiednie gesty we właściwej kolejności i tempie, albo wystarczy czyjeś spojrzenie odpowiedź znak, wystarczy, żeby ktoś coś zrobił dla samej przyjemności i po to, żeby jego przyjemność stała się przyjemnością innych: w takim momencie zmieniają się wszystkie przestrzenie, wysokości, odległości, miasto przeobraża się, staje się krystaliczne, przejrzyste jak wałka. Ale wszystko musi nastąpić niemal mimochodem, nie można nadawać temu nadmiernego znaczenia, bez nadmiernej pretensji co do wagi tej operacji, należy cały czas pamiętać, że lada chwila poprzednia Marozja sklepi nad głowami swój strop z kamienia pajęczyn pleśni.

Czyby wyrocznia się myliła? Niekoniecznie. Ja tak ją interpretuję: Marozja składa się z dwóch miast: miasta szczura i miasta jaskółki; obydwie zmieniają się z biegiem czasu; ale nie zmienia się ich stosunek: zawsze drugie z nich lada chwila ma się wyzwolić z pierwszego.

Ciągłe miasta. 5.

Żeby opowiedzieć ci o Pentezylei, powinienem zacząć od opisu wejścia do miasta. Ty wyobrażasz sobie zapewne wyrastanie pierścienia murów nad pokrytą kurzem równiną, zbliżanie się, krok za krokiem, do bramy strzeżonej przez celników, którzy popatrują krzywym okiem na twoje toboły. Dopóki nie dotarłeś do miasta, jesteś na zewnątrz; przechodzisz pod sklepionym łukiem i odnajdujesz się w środku; otacza cię zwarta bryła miasta, a wycięty w niej rysunek objawi ci się, jeśli będziesz szedł za jego kanciastym zarysem.

Jeśli tak sądzisz, jesteś w błędzie: w Pentezylei jest inaczej. Godzinami idziesz naprzód i ciągle nie wiesz, czy jesteś już w środku miasta czy jeszcze na zewnątrz. Jak jezioro o płaskich brzegach, które gubi się w mokradłach, Pentezylea rozlewa się dookoła na mile w rozcięnczonej na równinie brei miasta: blade domostwa, które odwracają się do siebie plecami pośród szczeciniastych łąk, między parkanami z desek i blaszanymi wiatami. Co pewien czas zagęszczanie się przy brzegach drogi budowli o nędznych fasadach, przesadnie wysokich lub niskich, jak wyszczerbiony grzebień, zdaje się wskazywać, że od tego miejsca oka miasta zaczną się zacieśniać. Ale idziesz dalej i natrafiasz na dalsze niezabudowane tereny, potem na jakieś przedmieście, zardzewiałe od warsztatów i składów, cmentarz, jarmark z karuzelami, rzeźnię, zapuszczasz się w ulicę mizernych kramów, która gubi się wśród plam wyłysiałych pól.

Spotkani ludzie, jeśli zapytasz ich: „Którędy do Pentezylei?” – wykonują okrężny ruch, tak że nie wiesz, czy ma on znaczyć: „Tutaj” czy „Trochę dalej” albo „Wszędzie dookoła” lub wreszcie: „W przeciwną stronę”.

– Miasto – nalegasz.

– My co rano przyjeżdżamy tu do pracy – odpowiadają jedni, a drudzy:

– My wracamy tutaj na noc.

– Ale miasto, gdzie się żyje? – pytasz.

– Powinno być tam – powiadają, i jedni wznoszą ukośnie ramię w kierunku skupiska ciemnych wielościanów na horyzoncie, podczas gdy drudzy wskazują widmo innych szczytów, za twoimi plecami.

– Zatem minąłem je, nie zdając sobie z tego sprawy?

– Nie, może idź jeszcze kawałek naprzód.

Tak posuwasz się, przechodząc od przedmieścia do przedmieścia, aż przychodzi czas odjazdu z Pentezylei. Pytasz o drogę, ażeby opuścić miasto; ponownie przemierzasz ciąg peryferii rozproszonych jak mleczny pigment; zapada noc; zapalają się okna, to rzadsze, to gęściejsze.

Zrezygnowałeś już z dociekania, czy w jakimś zagłębieniu lub zmarszczce tego poszczerbionego okręgu kryje się gdzieś Pentezylea możliwa do rozpoznania i zapamiętania dla tego, kto ją odwiedził, czy też Pentezylea jest tylko własną peryferią, a jej śródmieście jest wszędzie. Teraz zaczyna ci kołatać po głowie bardziej dręczące pytanie: czy poza Pentezyleą istnieje jeszcze jakieś poza? Czy też, choćbyś oddalał się od niej, przechodzisz tylko z jednego do drugiego bezkształtnego przedmieścia i nie możesz ich opuścić?

Ukryte miasta. 4.

Bezustanne napady nękały miasto Teodorę na przestrzeni dziejów; porażka jednego wroga dodawała sił następnemu, który stawał się nowym zagrożeniem dla mieszkańców. Kiedy oczyszczono już niebo z kondorów, trzeba było stawić czoło pladze węży; zagłada pajaków pozwoliła roić się i czernieć muchom; zwycięstwo nad termitami wydało miasto na pastwę czerwi. Po kolei gatunki, które nie mogły współistnieć z miastem, ponosiły klęskę i ginęły. Tak długo ludzie miażdżyli skorupy i łuski, wyszarpywali pokrywy skrzydłowe i pióra, aż nadali Teodorze oblicze miasta wyłącznie ludzkiego, którym odznacza się po dziś dzień.

Ale przedtem, przez długie lata, było niepewne, czy zwycięstwo nie przypadnie w końcu gatunkowi, który jako ostatni toczył walkę z ludźmi o panowanie nad miastem: szczurom. Nieliczne niedobitki każdego pokolenia gryzoni, które ludzie zdołali zgładzić, wydawały na świat bardziej zahartowane potomstwo, odporne na pułapki i niewrażliwe na trucizny. W ciągu paru tygodni piwnice Teodory zapełniały się na nowo przelewającymi się hordami szczurów. Wreszcie, w ostatecznej hekatombie, morderczy i giętki umysł ludzki pokonał nadmierną żywotność nieprzyjaciół.

Miasto, wielkie cmentarzysko zwierzęcego królestwa, zamknęło się, aseptyczne, nad ostatnimi truchłami, pogrzebanymi z ich ostatnimi pchłami i mikrobami. Człowiek wreszcie zaprowadził na powrót zakłócony przez siebie samego porządek świata: nie podważało go już istnienie żadnego innego żywego gatunku. Dla upamiętnienia niegdyśszej fauny biblioteka Teodory miała zachować w swych szafach tomy Buffona i Linneusza.

Tak przynajmniej sądzili mieszkańcy Teodory, dalecy od przypuszczenia, że budzi się właśnie z letargu zapomniana fauna. Wygnaną na długie ery do ustronnych kryjówek, do których wyparł ją system wymarłych już dziś gatunków, inna fauna powracała na światło dzienne z podziemi biblioteki, gdzie przechowuje się inkunabuły, zeskakiwała z kapiteli i gargulców, przysiadła u wezgłowia uśpionych. Sfinksy, gryfy, chimery, smoki, harpie, hydry, jednorożce, bazyliuszki na powrót brały w posiadanie swoje miasto.

Ukryte miasta. 5.

Zamiast mówić ci o Berenice, niesprawiedliwym mieście, które wieńczy tryglifami abakami metopami tryby swoich machin do mielenia mięsa (ci, którzy je polerują, kiedy wyciągają brodę nad balustradami, aby podziwiać atria, paradne schody, portyki, czują się jeszcze bardziej uwięzieni i znikomii), powinienem opowiedzieć ci o ukrytej Berenice, mieście sprawiedliwych, którzy uwijają się na zapleczach kramów i w cieniu klatek schodowych, splatając z tego co popadnie sieć przewodów i rur, i kołowrotów, i tłoków, i przeciwcieżarów, która przenika, jak pnąca roślina, między wielkie koła zębate (kiedy te się zatną, przytłumione tykanie obwieści, że miastem rządzi nowy ścisły mechanizm); zamiast odmalować ci wonne baseny łaźni, gdzie wyciągnięci na brzegach niesprawiedliwi Bereniki snują krągłymi zdaniemii swoje intrygi i przyglądają się okiem posiadacza krągłymi kształtom kąpiących się odalisek, powinienem powiedzieć ci, jak sprawiedliwi, trzymając się cały czas na baczności, aby uniknąć donosów szpiegów i obław janczarów, rozpoznają się po sposobie mówienia, szczególnie po wymowie przecinków i nawiasów; po przestrzeganiu surowych i czystych obyczajów, a unikaniu zagmatwanych i mrocznych stanów ducha, po skromnej, lecz smacznej strawie, która przywodzi na myśl miniony wiek złoty: zupa z ryżu i selera, gotowany bób, smażona dynia.

Z tych danych można wysnuć obraz przyszłej Bereniki, który przybliży cię do prawdy bardziej niż jakakolwiek informacja o mieście w jego dzisiejszej postaci. Naturalnie, o ile będziesz pamiętał o tym, co ci powiem: w ziarnie miasta sprawiedliwych kryje się z kolei złe nasienie; z pewności i dumy, że jest się sprawiedliwym – i to w większym stopniu niż wielu innych, którzy głoszą się bardziej sprawiedliwymi, niż przystoi im po sprawiedliwości – fermentują urazy rywalizacji zemsty, a naturalne pragnienie odwetu na niesprawiedliwych zabarwia się żądzą zajęcia ich miejsca, aby robić to, co oni. Inne niesprawiedliwe miasto, co prawda odmienne od pierwszego, drąży sobie miejsce wewnątrz podwójnej powłoki obu Berenik, niesprawiedliwej i sprawiedliwej.

Po tym, co powiedziałem, jeśli nie chcę, aby twój wzrok odebrał zniekształcony obraz, muszę zwrócić ci uwagę na pewną istotną cechę tego niesprawiedliwego miasta, które kiełkuje potajemnie w tajemnym mieście sprawiedliwym: a jest to możliwość rozbudzenia – jak żwawe otwieranie okien – skrywanego umiłowania sprawiedliwości, nieujętego jeszcze w reguły, zdolnego złożyć na powrót miasto jeszcze sprawiedliwsze niż wówczas, nim stało się naczyniem niesprawiedliwości. Ale jeśli zajrzy się jeszcze do wewnątrz tego nowego zarodka prawości, można dostrzec plamkę, która rozszerza się, jak rosnąca skłonność, aby narzucać to, co sprawiedliwe, za pomocą tego, co niesprawiedliwe i jest to może zarodek ogromnej metropolii.

Z mojej opowieści wyciągnąłeś zapewne wniosek, że prawdziwa Berenika jest następowaniem po sobie różnych miast, na przemian sprawiedliwych i niesprawiedliwych. Ale o czymś innym chciałem cię powiadomić: wszystkie przyszłe Bereniki są już obecne w tym momencie, spowite jedna w drugą, ściśnięte stłoczone nierozdzielne.

Atlas Wielkiego Chana zawiera także mapy ziem obiecanych, poznanych w myślach, lecz nieodkrytych lub niezakończonych: Nowej Atlantydy, Utopii, Miasta Słońca, Oceanii, Tamoe, Harmonii, New-Lanark, Ikarii.

Spytał Marka Kubłaj:

– Ty, który odkrywasz nieznaną ziemię i widzisz znaki, na pewno potrafisz mi powiedzieć, ku której z tych przyszłości niosą nas pomyślne wiatry?

– Nie umiałbym nakreślić na mapie rejsu ani ustalić daty przybycia do portu. Czasami wystarcza mi widok, jaki otwiera się pośród nieskładnego pejzażu, światła przebijające we mgle, rozmowa pary przechodniów, którzy spotykają się w ciżbie, aby nasza mnie myśl, że wychodząc od tego, zdołam zebrać, fragment po fragmencie, miasto doskonałe, złożone z okruchów przemieszanych z resztą, z chwil oddzielonych przerwami, z sygnałów, które ktoś nadaje i nie wie, kto je odbierze. Jeśli mówię, że miasto, do którego zmierza moja podróż, jest nieciągłe w przestrzeni i czasie, na przemian rzadnie i gęstnieje, nie powinienś sądzić, że można zaniechać poszukiwań. Może, podczas gdy rozmawiamy, wschodzi ono rozsiane na obszarze twojego imperium; możesz odszukać je, ale tylko tak, jak ci powiedziałem.

Wielki Chan zaczął już przerzucać w atlasie mapy miast, które straszą w koszmarach i przekleństwach: Henocho, Babilon, Yahoo, Butua, Brave New World.

Mówi:

– Wszystko na próżno, skoro ostatecznym portem może być tylko miasto piekielne, a do niego właśnie wsysa nas prąd coraz węższą spiralą.

A na to Polo:

– Piekło żyjących nie jest czymś, co nastanie; jeśli istnieje, jest już tutaj, jest piekłem, w którym żyjemy na co dzień, które tworzymy, przebywając razem. Są dwa sposoby, aby nie sprawiało ono cierpień. Pierwszy jest nietrudny dla wielu ludzi: zaakceptować piekło i stać się jego częścią, aż przestanie się je dostrzegać. Drugi jest ryzykowny i wymaga ciągłej uwagi i ćwiczenia: odszukać i umieć rozpoznać, kto i co pośród piekła piekłem nie jest, i utrwalić to, i rozprzestrzenić.